MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 20. WARSZAWA, 19 KWIETNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

# ŚWIATOWY KRYZYS GOSPODARCZY I JEGO PODSTAWY USTROJOWE

ZAGADNIENIE światowego kryzysu gospodarczego jest dziś omawiane przez wszystkich, zastanawia jednak zupełny brak głosów objektywnych ze strony przedstawicieli sfer gospodarczych, omawiających jego przyczyny i sposoby wyjścia z trudności.

Zdaniem przemysłowców, przyczyną kryzysu jest nadmierna wysokość zarobków robotniczych, lub też podatków państwowych, dążenia etatystyczne i t. p. Zdaniem robotników i ich przywódców decydującą rolę odgrywa kartelizacja przemysłu, podnoszącego ceny do niczem nieuzasadnionego poziomu. Ten ostatni pogląd podzielają również rolnicy, ubolewający przytem nad trudnością ograniczania wytwórczości rolnej.

Chcąc jaknajbardziej zgodnie z prawdą przeprowadzić trudną analizę obecnego położenia, musimy przypomnieć rozwój światowych stosunków gospodarczych, począwszy od czasów wojny światowej.

Ograniczenie wytwórczości surowcowej i rolniczej, jak również skierowanie całego wysiłku przemysłowego w kierunku produkcji sprzętu wojennego, spowodowało pewne przesunięcia geograficzno-gospodarcze na niekorzyść Europy. Jest to zjawisko znane, nie będziemy się więc nad niem długo rozwodzić. Kraje pozaeuropejskie okazały się znacznie wdzięczniejszem polem do wytwarzania nietylko zboża, cukru i t. p., lecz również tkanin, samochodów (Ameryka) i innych wyrobów przemysłowych. Wskutek małych wymagań robotników (Chiny, Japonja, Jawa) przy dobrych warunkach naturalnych lub też nagromadzeniu wielkich kapitałów (Stany Zjednoczone), w połączeniu z nigdzie dotychczas nie spotykanym stopniem mechanizacji i racjonalizacji pracy, kraje zamorskie zdołały nas pobić na całej linji.

Równocześnie z temi zmianami w układzie światowych sił gospodarczych można było zauważyć przesunięcie w stosunku środków obiegowych do ilości dóbr, dostarczanych na rynki światowe. Jak wiadomo, ilość środków obiegowych wpływa poważnie na poziom cen. W czasie wojny, przy zmniejszonej naogół podaży dóbr, tudzież obfitości środków obiegowych, ceny we wszystkich prawie krajach osiągnęły poziom wyższy o 50% do 100% od przedwojennego. Naturalnie mówimy tu o cenach, wyrażonych we wskaźniku złotym. Ze wzrostem produkcji w latach powojennych postępowało jednak stopniono ograniczanie środków obiegowych. Wszędzie prawie wrócono do waluty wymienialnej na złoto, gromadzono zapasy tego kruszcu w bankach biletowych i starano się utrzymać jaknajwyższe stosunkowo „pokrycie“ pieniądza papierowego. Smutne doświadczenia inflacyjne skłaniały do prowadzenia polityki bardzo ostrożnej, przypominającej przysłowiowe „dmuchanie na zimne“.

Według wszelkich reguł „klasycznej” ekonomji, naturalnem następstwem zmniejszenia ilości środków płatniczych i zwiększenia ilości towarów powinno być powszechne obniżenie poziomu cen i płac. Ekonomja liberalna uczy nas, że tak być powinno przy wolnej grze interesów. Trzeba się jednak pogodzić z faktem, że wszelkie prawa ekonomiczne, oparte na założeniu wolnej konkurencji, są dziś, nie można powiedzieć—mylne ale bezuży-

teczne, w tym sensie, że same przez się nie tłumaczą zjawisk życia.

Założeniem teorji liberalnej było, że w wypadku, gdy ceny danego artykułu osiągają poziom nieuzasadniony ani wysokością obiegu pieniężnego, ani cenami surowców i t. p., produkcja jego wzrasta gwałtownie, staje się bowiem nader rentowną. Podobnie, gdy w pewnej dziedzinie wytwórczości płace są wysokie, garną się do niej pracownicy z innych dziedzin. Tą drogą następuje wyrównanie płac i cen. Dziś jednak widzimy, że płace robotnicze i ceny artykułów przemysłowych okazują dziwną sztywność, mimo olbrzymiego spadku cen surowców i produktów rolniczych. Czem wytłumaczyć to zjawisko?

Oto w dziedzinie produkcji przemysłowej decydującą rolę odgrywają dziś monopole. Związki zawodowe zmonopolizowały pracę, kartele — towary. Doktryna „kartelistów” polega na tem, by „stabilizować” konjunkturę. Utrzymywać ceny na tym samym poziomie, a wytwórczość zwiększać tylko w granicach stałego, niezależnego od konjunktur wzrostu zapotrzebowania, wynikającego z przyrostu ludności, rozwoju techniki, podniesienia zamożności i t. p. Zwolenników powszechnej kartelizacji spotkał jednak dotkliwy zawód. Okazało się, że produkcję trzeba nie utrzymać na dotychczasowym poziomie, ale zmniejszyć, jeżeli się chce utrzymać ceny. Tą drogą poszły kartele przemysłowe. Na rynku pracy jesteśmy świadkami podobnego zjawiska. Organizacje robotnicze utrzymują płace na dawnej wysokości. Okupują to zwiększonem bezrobociem.

Tymczasem produkcja rolnicza nie mogła być skartelizowana. Któż potrafi zorganizować dziesiątki miljonów rolników we wszystkich częściach świata? Próbowano zorganizować handel produktami rolnemi, skoro nie można było zorganizować produkcji. Jednak nie mogło to wydać pożądanych rezultatów. „*Wheat Pool*“ kanadyjski, czy „waloryzacja“ kawy brazylijskiej dały rezultaty zupełnie przeciwne zamierzonym. W Kanadzie i Brazylji skupowano zboże wzgl. kawę i gromadzono zapasy, podnosząc w ten sposób cenę. Jakiż był rezultat tych niezdrowych kombinacyj? Ceny sztucznie podniesione skłaniały do rozszerzenia produkcji. Zapasy rosły szybko. Najwięcej zarabiali ci, którzy stali poza organizacją, gdyż korzystając z wysokich cen nie ponosili ryzyka, związanego z gromadzeniem zapasów. W przeciwieństwie do karteli przemysłowych, kanadyjski „*Wheat Pool*“ powodował rozszerzenie, a nie zmniejszenie produkcji. Musiało to w konsekwencji doprowadzić do katastrofy.

Ceny zboża spadły w końcu 1929 roku gwałtownie. Podobne były losy innych surowców pochodzenia rolniczego. Nieograniczona żadnemi więzami sztucznemi produkcja ich wzrastała, ceny zaś, przy zmniejszającym się obiegu pieniężnym spadały. Dostarczając dużej ilości towaru, rolnicy, w najszerszem tego słowa znaczeniu (a więc także plantatorzy bawełny, kawy, ryżu), otrzymywali za nie coraz mniej pieniędzy.

„Klęska urodzaju“—oto termin jaki ukuto na określenie tego zjawiska. Zmniejszyć produkcję — oto lekarstwo na klęskę urodzaju. Tkwi jednak głęboki błąd w twierdzeniu, że sztuczne ograniczanie produkcji, tak jak to robią przemysłowcy, może na dłuższą metę wzbogacić kogokolwiek. Jakto—im mniej będzie towarów, tem bogatsi mają być ludzie? Oto do jakich sprzeczności doszliśmy dziś w szukaniu przyczyn kryzysu.

Nie nadprodukcja, bo ta jest wogóle niemożliwa, jak niemożliwe jest zaspokojenie wszelkich potrzeb wszystkich ludzi, ale jednostronne ograniczenie produkcji jest przyczyną kryzysu.

Pozwalamy sobie twierdzić, że gdyby cała ludność miast odżywiała się należycie, nie byłoby kryzysu rolnego. Gdyby więc większa ilość ludzi spożywała zamiast wyłącznie prawie kartofli i chleba, w większej ilości mleko, mięso i jaja, nadwyżki produkcji roślinnej byłyby skonsumowane. Dlaczego jednak ludność miast nie może sobie pozwolić na lepsze odżywianie się? Odpowiedź jest prosta. Jest bezrobotna.

Bezrobocie miejskie znowuż przypisać należy sztucznemu ograniczaniu pracy dla utrzymania cen wyrobów przemysłowych na poziomie, nieuzasadnionym cenami surowców i ilością środków obiegowych.

Gdyby ceny artykułów przemysłowych i płace spadły w tym samym stopniu, co ceny produktów rolnych, nastąpiłaby równowaga między produkcją miast i wsi. Za tę samą ilość pieniędzy rolnik nabywałby więcej towarów. Dziś kupuje mało, ale drogo. Czy przemysł na tem zarabia? Pozornie zdawałoby się, że tak. Tylko pozornie jednak. Im więcej fabryki produkują, tem mniej kosztuje jednostka wytworzonego towaru. Dziś produkują mało, a więc drogo. Zmniejszona produkcja pokryć musi takie same jak dawniej koszty administracji, podatków [1]), amortyzacji urządzeń i t. p. Podobnie robotnicy okupują utrzymane na wysokim poziomie płace bezrobociem. Ceny towarów przemysłowych są **względnie** wysokie, ale ogólne obroty przemysłowe niskie, płace indywidualne wysoki, ale suma płac nieznaczna. Wydaje się zatem, że zwiększenie wytwórczości przy obniżeniu cen nie wyszłoby na szkodę przemysłowi.

---

[1]) Potrąciliśmy tu mimochodem o zagadnienie opodatkowania i kosztów administracji. Nieraz już podnoszono wpływ tych czynników na zaostrzenie kryzysu. W pełni uznając ich doniosłość, nie będziemy atoli nużyć czytelników przypominaniem znanych twierdzeń. Warto atoli podkreślić, że obok państwa i samorządów, także rozwój organizacyj gospodarczych wszelkich typów powiększył ogromnie koszty, ponoszone przez jednostki lub przedsiębiorstwa, pracujące wytwórczo. Pod względem społecznym są to zjawiska podobne

Tak przedstawia się pokrótce skomplikowany mechanizm kryzysu światowego. Jest on pod wielu względami odmienny od przesileń przedwojennych. Wiele się od tych czasów zmieniło w ustroju gospodarczym świata i tu tkwi, zdaje się, punkt ciężkości przesilenia. Zdawało się, że ustrój liberalny, ze swemi znanemi brakami, zostanie zastąpiony z powodzeniem przez system organizacji produkcji i gospodarki planowej. Obecne przesilenie uczy nas jednak, że ma liczne złe strony współistnienie gospodarki wolnej i związanej w obecnej ich formie. Powrót do ustroju całkowicie wolnokonkurencyjnego wydaje się niemożliwy i conajmniej niewiadomo, czy byłby pożądany. Niektórzy ekonomiści wysuwają konieczność — związania produkcji rolnej, tak jak związano produkcję przemysłową. Na tem polu jednak jesteśmy dotychczas świadkami prób — nieudolnych.

*

W świetle powyższych uwag zrozumiemy, dlaczego kryzys obecny może być dla niektórych ekonomistów dowodem przeżywania się ustroju kapitalistycznego, którego ewolucja sama stwarza formy gospodarki, zbliżone do socjalistycznych. Zrozumiemy jednak również, dlaczego przeciwny obóz, z niemniejszym uporem, szuka w obecnych trudnościach argumentów do walki ze wszystkiem, co ogranicza wolną inicjatywę jednostki — a więc z etatyzmem i monopolami produkcji lub pracy. Wydaje się nam, że prawda nie leży ani po jednej ani po drugiej stronie. Błędem jest pojmowanie ewolucyj ustroju społecznego, jako jednolitego dążenia do bezwzględnej wolności jednostki na polu gospodarczem, lub też do bezwzględnego tej wolności ograniczenia w imię celów ściśle materjalistycznych. Dotychczasowy rozwój ludzkości wykazuje dostatecznie jasno zupełną bezpodstawność tego rodzaju doktryn, stworzonych przez ludzi, którym się zdaje, że opierają swą „naukę” na niewzruszonych i zawsze prawdziwych założeniach, a którzy w istocie rzeczy nie mogą oderwać się od pojęć i sposobu myślenia epoki, w której żyją.

Ustrój społeczno-gospodarczy był zawsze wynikiem kompromisu między zasadą wolności indywidualnej, a dążeniami do podporządkowania jednostek interesem wspólnym klasy, zawodu, miasta czy państwa. Obecne formy tego kompromisu nie wytrzymują próby życia. Staje się coraz bardziej widoczne, że aby móc pogodzić sprzeczne interesy słabiej lub silniej zorganizowanych grup społecznych, by móc urzeczywistnić zdrowe pogodzenie wolności jednostki z interesem społecznym trzeba czegoś więcej niż doktryny.

Trzeba mieć — ideę a nie tylko koncepcję ustrojowo-gospodarczą.

AD. B.

# O BIBLJOTEKĘ PAMIĘCI NARODOWEJ

(Dokończenie)

II

ROZMAITE mogą być oceny faktów dziejowych i kierunków politycznych; i współpracownicy przyszłego „Plutarcha polskiego” nie powinni być ludźmi politycznie bezbarwnymi. Owszem, tylko przez intensywne życie teraźniejszością nabiera się interesu i wyczucia dla przeszłości; to też „żywoty” takie nie mogą się obejść bez refleksów polityki współczesnej; — będą z aktualnego punktu widzenia ganić i chwalić rzeczy przeszłości; ale zostaje jedna rzecz do uznania całkowicie objektywnego: s u m a d o b r e j w o l i, jaką się inwestuje w czyny swoje, choćby te czyny, z jakiegoś, najsłuszniejszego zresztą punktu widzenia, były naganne. I ta oto suma jest najściślejszą t r e ś c i ą dziejów człowieka czy narodu, przedmiotem stosownym do wartościowania najbezstronniejszego; wszystko inne jest już poniekąd f o r m ą dziejową. Najistotniejszy tragizm historyczny (i życia wogóle) polega nie tyle na dualizmie dobrej i złej woli, względnie obojętności, ile na pluralizmie dobrej woli; stąd największe trudności dla oceny historycznej — lecz i zarazem podstawa do lojalności wobec kierunków historycznych potępianych, podstawa do wydestylowania jako wartości narodowej tego, co z ważenia się przeciwnych sił pozostaje ostatecznie t. j. osiągów c h a r a k t e r u.

Dla przykładu: Rok 1863: Wielopolski i przeciw niemu znaczna większość społeczeństwa. Powstanie styczniowe miało znaczenie dla przyszłości Polski stanowczo ujemne; więc historyk tak sądzący rozważy je i uwartościuje — z punktu widzenia Wielopolskiego, mimo błędów i w pewnym względzie ograniczoności tegoż; ale podczas powstania społeczeństwo, zwłaszcza w organizacji cywilnej powstania, wykazało wysoki stopień sprężystości, patrjotyzmu a nadewszystko uczciwości: buchalterja powstania, prowadzona w biurach rządowych, zostawiła, jak podnosi rosjanin Berg, rachunki uporządkowane co do grosza. Powstanie było w jednym, ważniejszym praktycznie, względzie wielką stratą; ale taki z dodatnim wynikiem narodowy egzamin z pewnych stron charakteru, jakim ono było, jest zyskiem, którego pamięć narodowa nie powinna zrzekać się. Wskazanie na takie *distingue* nie jest tu zbędne, bo mogą się okazać fakty dziejowe, podlegające różnicom co do ich oceny bardzo znacznym, zgoła drastycznym — i kwestja włączenia takich ludzi i czasów do oficjalnego rejestru narodowej pamięci, może być bardzo trudna do rozstrzygnięcia; sprawdzianem będzie pytanie, czy zaszły tu jakie fakty, świadczące jako o ostatecznych motywach, o dobrej patrjotycznej woli i o charakterze, p o l u d z k u, w najszerszej perspektywie, wartościowym i niewartościowym?

Z powyższego okazuje się, że kierownictwo i współpracownicy takiego wydawnictwa będą mieli trudne zadanie, poniekąd antynomiczne: Mieć zarazem swą politykę — i być apolitycznym. Mieć politykę, bo potrzebne jest stanowisko polityczne aktualne dla oceny historycznej wartości, a stąd i ważności; być apolitycznym, bo w wielkie życie narodu wsiąkają, jako korzyści, dążenia ideowe, jaknajbardziej sprzeczne [1]). Wyjście z tej antynomji, najmniej obraźliwe dla różnych stron, wskazać może tylko to, co się nazywa taktem. Taka bibljoteka winnaby być wolną trybuną dla ludzi wszelkich kierunków, byle patrjotycznych, obowiązującą do pewnej dyskrecji w ocenie prądów przeciwnych. Umiarkowanie takie w tonie, — (bo nie w argumentach rzeczowych) — byłoby tem bardziej potrzebne, że historję należałoby w zasadzie — zaczynając od Bolesławów i Wojciechów — podprowadzić pod czasy najnowsze. Bo, cokolwiekbądź, powiemy, historja jest tem zrozumialsza i tem bardziej obowiązująca, im człowiekowi bliższą jest w czasie i miejscu; najbardziej obowiązującą jest historja, co przechodzi przez rodzinę. Niestety, dziś w Polsce, dopóki część społeczeństwa chodzi z gwoździem w głowie, dopóty trudno rozmawiać argumentami rzeczowemi o historji najnowszej, i dlatego podprowadzenie „Plutarcha" polskiego pod chwilę obecną musiałoby być bardzo utrudnione. Np. nie ulega wątpliwości, że w syntetyczną pamięć narodową, po wydestylowaniu ze względów politycznych i z masy nienawiści do wszystkiego, co miało odwagę poprostu być kimś innym, wejdzie kiedyś z I Brygady to, co było najczystszą tęsknotą i dzielnością żołnierską. Długoszów, Pększyców i tylu innych nie powinno się zapomnieć. Ale dziś, kiedy ta aureola została tak doszczętnie i tak fatalnie wyeksploatowana, komuż z nas, kto widział nagankę na najlepszych żołnierzy polskich innych formacyj, chciałoby się czytać i mówić o I Brygadzie?...[2]). A znów, któż z tamtych pochwali wydawnictwo, któreby przypomniało twórców „błękitnej armji" lub Rozwadowskiego? Mus przyjść czasa-lekarz—oby rychły! Ale już dziś możnaby dać wspniałą epopeję miasta Lwowa, możnaby dać wspomnienie plebiscytów, powstań śląskich, Radzymina i t. d. Są już książeczki o tem (np. „Orlęta" Schrödera), ale szłoby o systematyczną kadrę tej literatury.

Tu odrazu muszę się wytłumaczyć, co mam na myśli. P. Bielak mówi w swym artykule, do którego nawiązałem, o „Plutarchu polskim". Przez Plutarcha rozumie się życiorysy ludzi nawybitniejszych, najsławniejszych. Ja zaś sądzę, że należałoby sławę zdemokratyzować; pokazać w działaniu masę. Masę? Wszak poprzednio biłem na przeciwieństwo między jednostką a tłumem; sprzeczności jednak nie popełniam, bo przeciwstawienie to nie jest natury ilościowej, tylko jakościowej; jest ono właściwie identyczne z tem drugiem: „duch — materja", które oznacza — nie przeciwieństwo dwuch substancyj, ale — przeciwieństwo pomiędzy działaniem świadomem a oporami przeciw temu działaniu [3]). To też, jeśli się pokaże w działaniu — masę, to pokaże się tylko zwiększoną ilość przodowników, przodowników na mniejszych, bardziej zacisznych terenach życia. Im więcej przodowników, jednostek, tem lepiej; idealną granicą jest społeczeństwo, w którem ilość tłumu zmalała do zera, są same jednostki, same odpowiedzialne i czynne osobistości: to byłaby świetna rasa! To też źródłem otuchy rasowej będzie pokazać na żywych przykładach, jak się w masach ludowych budzą w w. XIX, tryskają z pod pokrywy obcych ekspansyj strumyki narodowego odrodzenia. Te prądy, to są oczywiście ludzie, jednostki, wyrastające pojęciem swem i sercem ponad bierne otoczenie i pobudzające je do życia żywszego, bardziej odpowiedzialnego. Zebrać pamiątek takich, co się jeszcze da, przekazać potomności obok wielkich także i takich nieznanych bohaterów — oto zadanie nowożytnego Plutarcha [4])

Stąd jednak wynika, że taka „biblj. pam. nar." nie mogłaby się ograniczyć do życiorysów; wszak niejedno wspomnienie o takim skromnym przodowniku wystarczy ledwo na jedną kartkę, albo jeszcze mniej, może tylko dochowa się szczegół, zawarty w paru słowach. Więc będzie trzeba dawać wiązki życiorysów, czyli poprostu malować tła, środowiska, — oczywiście zawsze z baczeniem na jaknajwiększą ilość konkretnych danych. Same nagie katalogi nazwisk już mogą być bardzo wymowne [5]). Należałoby więc dawać oprócz życiorysów i opracowania spraw. Np. jak konkretnie, z obfitym nakładem faktów, odmalował Francuz dr. Nicaire walkę szkolną w Poznańskiem [6]), jaka prawda radosna bije od szeregów tych dzieci, którym społeczeństwo mogło zaufać i włożyć na ich wątłe barki walkę z mocarstwem. Możnaby to przetłumaczyć na polskie, lecz na nowo opracować; podobnież o unitach i t. p.

---

[1]) *Nb*, jako korzyści i jako straty! W każdym razie nie jako korzyści równej miary; przypuszczać, że wszystko jest równie dobre, co jest jakimś „czynem" — byłoby politycznym nihilizmem, „witalizmem" w złym guście.

[2]) Nie wyobrażajmy sobie zresztą, że tam kult umarłych równa się kultowi żywych! We Lwowie wydawał przez parę lat pułk. Zygmuntowicz, sympatyczne zresztą i w zasadzie pożądane pismo „Panteon Polski", poświęcone pamiątkom po poległych żołnierzach polskich w ostatnich wojnach; pismo to, które miało akcent zdecydowanie I-o-brygadowy, prowadziło żywot godny współczucia, wydawca sam na nie łożył, w każdym nieomal numerze odzywał się o poparcie do ogółu. To środowisko tak... patrjotyczne, tak militarne i tak świetnie dyzlokowane po społeczeństwie, nie umiało dać należytego poparcia pamięci poległych, i to swoich przedewszystkiem.

[3]) Dla przykładu: W towarzystwo znudzone, kapryszące, wchodzi ktoś, kto odrazu ożywi, zorganizuje jakąś rozrywkę: „jednostka—tłum, duch—materja". Podkreślam to rozróżnienie „masa — tłum": kategorja ilościowa — jakościowa.

[4]) To najlepiej malowałyby pamiętniki, wzgl. odpowiednie wyciągi z pamiętników, listy i t. p. Tu też mogłoby wejść coś w rodzaju francuskiego „*derniére lettre*"—zbiór ostatnich listów żołnierzy poległych. Tu są ciche, ale obfite źródła najszlachetniejszych wzruszeń.

[5]) „...Tak przekradł się Gorecki, Pac i Obuchowicz..." Mnie się wydaje, że te wiersze należą do najwznioślej poruszających w poezji polskiej... I znów: „gdy się do jakiej sprawy szkolnej zeszli: Burek, Rakowski, Folwarczny, Frosik, Grygier, Lasota, Molik, Stodolnioszek, Molik trąbiróg, Suchanek z Grotnika, Niemczyk, Adamiec, Wojnar-kołodziej, Roman, Stefek, Wojnar-stolarz — to zobaczyłeś poważne grono mężów, co życiem poczciwem... wysławiali Boga... służyli ochotnie razem Kościołowi swemu, swej szkole, swej ziemi i swej braci, co nieśli pamięć przodków swoich..." i t. d. (por. J. Kubisz, „Z pamiętnika starego nauczyciela", Cieszyn 1928 — ciekawa książka!) — ileż dostojności w takim katalogu nazwisk chłopskich, przeważnie pospolitych z brzmienia — kiedy mówią nie o tłumie, ale o masie rasowo dobrej.

[6]) „*Allemands et Polonais. La lutte pour le langue en Posnanie*". (daty i edycji nie pamiętam, przedwojenne). Książka mogłaby służyć za wzór takiego wydawnictwa: wstęp historyczny o Poznańskiem pod zab. pruskim, fakty walki z nazwiskami obfitemi, dokumenty, odnoszące się do sprawy (naprzykład: odezwa **Sienkiewicza** i t. p.).

Obok spraw, należałoby opracować i instytucje, (np. Kom. Eduk., Uniwersytet Jagielloński, albo TSL. i t. d.) i grupy różnorakiego rodzaju np. kobiety (Al. Kraushara „Polki twórcze"), wygnańcy, emigranci polityczni i zarobkowi, oświatowcy, opiekunowie ubogich (taki brat Albert, albo gdzieś między trędowatymi ginący O. Beysym zasługują na osobne monografie) i t. p. Jeszcze inne grupy, lub monografje o osobistościach (o ileby materjału starczyło): polscy uczeni (*nb.* Kopernik w osobnej monografji), wynalazcy (dlaczego dać zaginąć pamięci takiego Łukaszewicza, wynalazcy lampy naftowej) działacze gospodarczy, misjonarze, marynarze, działacze i żołnierze polscy na obczyźnie, — w związku z tem kwestja oddziaływania kultury polskiej na obcych i t. d. [7]); materjału i podziwu godnych, a conajmniej zajmujących osobistości — co nie miara! Powinno to wszystko wejść w pożywienie duchowe ogółu.

Ale przedewszystkie pokazać polską myśl publiczną w jej tragicznych walkach i zastanowieniach. Pokazać wiekowe troski o naprawę Rzeczypospolitej, walkę o lepszą strukturę polityczną, o ducha obywatelskiego, walkę z obskurantyzmem w w. XVIII, walkę o utrzymanie duch narodowego po rozbiorach, walkę o sprawiedliwość względem ludu. Zwłaszcza na tę ostatnią położyłbym w „bibl. pam. nar." silny nacisk. Wchodzą masą nowe żywioły w życie publiczne; jak związać je z historją polską, w której znaidują wiele rzeczy dla siebie, potomków ludu pańszczyźnianego, obrażających? Należy więc ukazać w pełnem świetle tych wszystkich sumiennych, którzy nie oderwali się samolubnie od masy roboczej, wskazać na to, że ostatecznie polską myśl demokratyczną, z jej akcentami najszlachetniejszego humanitaryzmu, robili potomkowie szlachty, że szczęście ludu było ostatnią myślą przedzgonną Wiśniowskich i Konarskich. Tego nie zatracić dla pamięci narodowej — jest sprawą wielkiej wagi.

A sztuka, a poezja? Oczywiście także musiałby wejść w tę bibljotekę — bo ludzie sztuki są częstokroć najlepszymi wyrazicielami tego, co się nazywa „duchem narodu" — a powtóre w wysokiej sztuce naród uzyskuje najbardziej widoczne tytuły do chwały. Ale tu byłaby potrzebna duża ostrożność, ażeby polski Plutarch nie przemienił się w historję biograficzną literatury polskiej: u nas jest, zrozumiałą zresztą, skłonność do forytowania pióra i szabli z upośledzeniem innych sposobów działania. Dlatego wybraćby należało osobistości nietylko najbardziej reprezentatywne, nietylko te, których oddziaływanie może być najbardziej pożądane i skuteczne, lecz i te, które się wyróżniają swoją budującą osobistością: Mickiewicz (w opracowaniu nie tyle Boya ile Pigonia), Słowacki (ze względu na swój piękny i wkońcu zwycięski trud ducha), Goszczyński; czy Norwid? Niech to rozstrzygnie p. Cywiński. Sienkiewicz, Prus, Jeż, Świętochowski, Orzeszkowa, z dawnych Kochanowski, z Młodej Polski Kasprowicz; napewno i inni jeszcze, nie idzie mi tu o dokładność [8]).

[7]) Tu przypominam pożyteczne dzieło zbiorowe pod red. prof. Konecznego: „Polska w kulturze powszechnej" — zasługuje na szersze rozpowszechnienie.

[8]) Że w skład Plutarcha, obok najwybitniejszych monarchów, wodzów, polityków, powinniby wejść i publicyści, jak Modrzewski, Skarga, Leszczyński, Konarski, Staszic, Kołłątaj, Mochnacki, Popławski, i t. d., to pewne. Ale są tu niejakie trudności z pisarzami: po pierwsze, nie zawsze charakter odpowiada wymiarom myśli, a powtóre, dać najlepsze pojęcie o pisarzu, to przedewszystkiem dać antologję jego pism — a to już wchodziłoby w zakres innego wydawnictwa, jak np. krakowska „Bibljoteka Narodowa". Trzebaby więc: *ad* 1) rozstrzygnąć i zgodzić się na wybór tylko osobistości niewątpliwie przykładnych, *ad* 2) faktycznie szłoby o antologję przy życiorysie—ale czyby taka „bibljoteka pam. nar." nie mogła wejść jako osobna serja w tak doskonałą i pożyteczną „Bibljotekę narodową"? Serje literatury polskiej i te wzajemnieby się uzupełniały. Możnaby zresztą wyłączyć, jako serje osobne, serje antologij, życiorysów, biografij zbiorowych, pamiętników. (Tu odrazu wskażę, że niejedna rzecz powinnaby się tu ukazać w reedycji, jak np. taka „Moja droga do Polski" Machaya).

Tak więc dałoby się uczuć polskość w jej całej objętości: w jej zasięgach poziomych w czasie i przestrzeni i w jej najwyższych przekrojach pionowych.

*

Ale powie ktoś: Przecież wychodzą raz po raz materjały, świetne monografje, liczne pamiętniki, źródła, są całe poświęcone temu wydawnictwa. Czyż to nie fikcja myśleć o jakiejś koncentracji tego wszystkiego w jednej sesji?

Bynajmniej nie o to idzie. Któż z poza historyków będzie studjował „*Liberum veto*" Konopczyńskiego, któż Grabskiego „Historję Tow. Rolniczego", albo, chociażby, łatwiejszą już, ale objętościową „Historję chłopów" Świętochowskiego? A tu tymczasem każdy Polak powinien wiedzieć o tych dziś, mało komu znanych Jabłonowskich, Brzostowskich, Łubieńskich, Potockich, co się ponad czas wybijali szlachetnemi głowami. Taka bibjoteka miałaby, w nienagannem znaczeniu, *ad usum delphini* służyć, nie specjalistom, ale ogółowi szerokiemu, zwłaszcza dorastającej młodzieży, tym wszystkim, którzy powinni wiedzieć o pulsujących w narodzie mocach. Miałaby więc dawać przesiane ziarno, tę tylko prawdę, która jest przydatna bezpośrednio, która mogłaby się rychło obrócić w życie, t. j. w entuzjazm dla życia, przedewszystkiem tego najbliższego, polskiego [9]). Miałaby dawać prawdę odpowiednio ukształtowaną: ująć dzieje w kategorji biografij; wydobyć z nich *explicite* ich wątek najkonkretniejszy — duszę jednostki, owe bohaterskie samotwórcze porywy woli — i tym sposobem zarazić młodym serca ambicją dzielności.

[9]) Tu należy, choć na poczekaniu, odpowiedzieć czytelnikowi na wątpliwość, która już poprzednio mogła się była nasunąć: Jak z tą prawdą? Ma być budująca i ma być niefałszowana? A tu przecież tymczasem *errare humanum est*, ileż się znajdzie osobistości takich, w których niema zgoła nic do ukrycia? To osobna i wielka kwestja, (co budujące, dokładniej określiwszy?) — pozwolę sobie tylko na parę uwag. Więc, powtarzam, „Plutarch" ma dać prawdę budującą i niefałszowaną, i ma służyć wychowaniu, ale nie wolno mu odstręczać czytelników krytycznych! Dlatego, z jednej strony, musi być cenzurą i np. nigdybym nie włączył w „bibl. pam. nar." takiego Stanisława Augusta, jako osobnej pozycji, tego „kawała pachnącego ciasta", jak go sprawiedliwie określił Świętochowski; jego zasługi kulturalne mogłyby znaleźć ocenę w jakiejś „biografji zbiorowej"—np. o ludziach „obiadów czwartkowych" (Wasylewski!) Ale z drugiej strony trudno „Plutarcha" traktować jakoby jakieś żywoty świętych. Jest, skoro idzie o mniejsze usterki, pewien sposób akcentowania biograficznego, który, nie uszczuplając całej prawdy, daje prawdę, o którą idzie. Np. bodajże w Kraszewskim jest jakaś chwiejność ideowa, nietrudno ją dostrzec, ale co u niego najważniejsze, to ta zdumiewająca zaiste pracowitość — więc jako olbrzyma pracy przekazać go pamięci pokoleń. Jest zresztą jakaś wielkoduszna pobłażliwość, dzięki której, widząc braki i błędy, sięga się jednak wzrokiem poza nie, w pozytywne intencje człowieka. (Przytoczyłbym tu potraktowanie Niemcewicza przez prof. Chrzanowskiego w jego warszawskiej mowie).

To że wiele już z tego jest w piśmiennictwie, to nie wadzi. Szłoby o uzupełnienie braków, o reedycje zresztą, o przeróbki autorskie z dzieł bardziej specjalnych. Miałyby to być książki — przystępne, ale na najwyższym poziomie popularyzacji, też dla ludzi wykształconych; w każdym razie zajmujące książki do czytania. Więc współpracownictwo musiałoby być powierzone dobrym piórom (Żeromskiego szkoda!) — i dobrym znawcom rzeczy. Takie tomiki zawierałyby, prócz właściwego tekstu, wskazówki bibljograficzne, dyskretnie podane realja, załączniki charakteryzujące osobistość, oddziaływanie jej, środowisko dziejowe, wkońcu i pamięć społeczną o niej. Musiałyby być estetyczne w wyglądzie, o ile możności ilustrowane, wygodne, niewielkie, no i z tem wszystkiem tanie... Tak, ażeby bez żadnej trudności mógł je do przeczytania polecać nauczyciel.

Oczywiście wiedza o tężyznie narodowej nie zastąpi samej tężyzny. Pamięć o poległych lotnikach nie zastąpi żywych lotników. Są jakieś źródła dzielności lub zwątlenia, niedostępne dla pedagoga. Ale dobre urządzenie pamięci narodowej napewno przyczynia się bądź co bądź do atmosfery, w której wyrastają tędzy ludzie.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

# SYNESTEZJE

ISTNIEJE zjawisko przenoszenia się wrażeń z jednego zmysłu na inny. W psychologji ma ono nazwę synestezji, a polega na tem, że wrażenie jednego zmysłu, naprzykład wzroku, wywołuje wrażenie słuchowe — dźwięku, albo odwrotnie. Wszystkie zmysły ludzkie powiązane są ze sobą nawzajem synestezjami. Naogół usuwają się one z pod świadomości ludzkiej, ale tylko dlatego, że w zwykłych warunkach działają słabo. W głębszych atoli warstwach podświadomości są czynne bezustannie i współdziałają w wielu objawach życia duchowego. Najszersze zaś zastosowanie mają w sztukach pięknych i w mowie ludzkiej, która nasycona jest pierwiastkami poezji.

Najgrubszy objaw synestezji znany jest chyba powszechnie, skoro utrwalił się w mowie potocznej, jako „świeczki w oczach", które zapala uderzenie w czoło. Wstrząs dotykowy przenosi się tu na nerwy oczne i wywołuje wrażenie wzrokowe. Najwytworniejszy objaw bezwiednej synestezji artystycznej miałem sposobność spotkać na wsi polskiej. Podczas długotrwałej suszy, która już klęską zbiorom groziła, gdy wszystkie rozmowy obracały się dokoła deszczu upragnionego, spytałem dziewuchę wiejską o pogodę. Odpowiedziała mi: „A wczoraj pod wieczór wyszły na niebo chmurki tak gwarnie, ale nic z tego!" Było wczoraj istotnie tak, że od wschodu pół widnokręgu objęła chmura potężna, obrzeżona tysiącem półkolistych chmurek, słońcem złoconych. Gwar powstał na niebie. Dziewczyna te chmurki usłyszała.

Tak w kształtowaniu całych zwrotów, jako też słów pojedyńczych od czasów pierwotnych mowa ludzka rozwija się głównie drogą naśladownictw dźwiękowych, przenośni i porównań. Do przenośni najpiękniejszych — nietylko w mowie potocznej, lecz i w poezji — należą te, które się rodzą z poczuć synestetycznych. Przenośnia w „chmurkach gwarnych" godna jest największego artysty. Mowa i poezja byłyby ubogie, ciężkie i twarde bez synestezyj. Zubożałyby i zgrubiały bez nich wszystkie sztuki piękne. Jeżeli muzy są siostrami, to pokrewieństwo ich stanowi nadewszystko mnogość użyczanych sobie nawzajem synestezyj artystycznych. Najobficiej korzysta z nich poezja, a to dlatego, że skazana jest na wyrażanie się za pomocą pojęć, które z natury swej są tworami od konkretów oderwanemi (abstrakcjami). Sztuka zaś o tyle jest sztuką, o ile przemawia konkretnie.

Niema sztuki, którąby od wrażeń, wzruszeń i wyobrażeń dzieliła taka odległość pustynna, jaka dzieli od nich poezję. Wszystkie sztuki inne nacierają — że tak powiem — całą swoją linją bojową bezpośrednio na zmysły odbiorcy, na jego wrażenia, a stąd drogą najkrótszą — na wyobrażenia i wzruszenia, albo (jak muzyka) wprost na wzruszenia. Jedna tylko poezja musi obierać drogę odwrotną i okrężną — poprzez pojęcia do wyobrażeń, a stąd do wzruszeń, przyczem z reguły do wrażeń już nie dociera. Jest przeto poezja sztuką niemal bezzmysłową i niemal niematerjalną. To „niemal" dotyczy tylko małego zakresu dźwięków i rytmu, które są w słowach zawarte. Bezzmysłowość i niematerjalność uchodzą w obecnym świecie zepsutym za coś idealnego. Mimo to w idealizmie tym leżą całe kilometry wydm piaszczystych, gdzie wiele już tworów poezji bezimienną znalazło mogiłę.

Pustynia poetycka, o której tu mowa, nazywa się literackością. Gdy poeta zaufa tylko pojęciowej wartości słów, zdań i okresów, a zaniedba ich uprawy rysowniczej, malarskiej, rzeźbiarskiej, architektonicznej, muzycznej i dramatycznej, wpada w literackość, a jego utwór zasypuje piasek słów. Na nic wtedy nie zdadzą się (na ratunek wzywane) drobiazgowe opisy realnej wiedzy przedmiotowej, historycznej, archeologicznej, przyrodniczej i jakiejkolwiek innej. Przeciwnie, im więcej wiedzy, im więcej opisów i słów, tem bezgłośniej i głębiej zapada się utwór w suche, bezpłodne warstwy pojęć, którym nie towarzyszą barwy, kształty, bryły i dźwięki. W przejściu od własnych wrażeń, wzruszeń i wyobrażeń do ich przedstawienia w utworze — na poetę zawsze czyha ta niebezpieczna pustynia pojęć, w mowie zawartych. Trud, bohaterstwo i zwycięstwo poety polega na przekształceniu pustyni tej w raj krainy roślinnej. A to się staje mocą porównań, przenośni i synestezyj artystycznych.

Oto, naprzykład, dwie w każdym utworze poetyckim ściśle ze sobą związane sprawy formalne: budowa i układ węzłów dramatycznych. Czy to mały poemat czterowierszowy, czy duża powieść, każde dzieło poetyckie posiada swoje bryły architektoniczne, których układ w pewnej mierze zależy od układu napięć dramatycznych i wzajem od nich jest uzależniony. Niema, oczywiście, żadnych prawideł powszechnych na szeregowanie i miarę tych układów. W każdym wypadku poszczególnym istnieją jego własne prawidła, ale poeta nie odkrywa ich rozumowaniem, tylko poczuciem budowniczem i dramaturgicznem. Poeta musi naprzód utwór swój zobaczyć jako gmach,

musi odczuć w nim stosunki pionów i poziomów, wagę i wielkość brył poszczególnych, ich rytmikę i zależności dramatyczne. Dopiero wtedy zadanie rozstrzygnie zmysłowo, a nie literacko. To samo stosuje się do barw utworu, jego linij, płaszczyzn i zdobin. Wszystko to są czynności synestetyczne, a wykonane dobrze, wywołują odpowiednie, pełne, również synestetyczne wyobrażenie w odbiorcy.

Poeta ma o wiele trudniejszy dostęp do wyobraźni, aniżeli artysta-plastyk. Malarz daje na płótnie obrazu plastyczne wyobrażenie przedmiotu ze wszystkimi jego cechami osobniczemi (indywidualnemi). W całości daje konkret. Dla poety konkret jest rzeczą niedosiężną, a jednak — pożądaną. Zastępuje go przeto wyobrażeniem konkretu, ale do wyobrażenia tego dojść może tylko środkami pojęciowemi, te zaś zawsze są wydęte pewną ilością abstrakcji, uogólnienia, jak pęcherze powietrzem. Ażeby z pęcherzów tych uczynić wyobrażenia, jaknajbardziej do wrażenia (do konkretu) zbliżone, poeta musi odkryć i udzielić w utworze ich najżywszą synestezję, lub kilka synestezyj. Tych jednak nie da mu żaden opis realistyczny. Opis — to znów telegram pojęciowy. Takim skrótem jest dobra synestezja artystyczna — w rodzaju tej, którą dała owa dziewucha w czas posuchy.

Zobrazujmy sprawę na przykładzie z poezji, mianowicie z jednej (nie pamiętam tytułu) noweli Józefa Conrada. Jest ten pisarz artystą średniej miary, ale tu do wyżyn sztuki się wyniósł. Opis wystającej prostopadle z morza, poszarpanej i groźnej, czarnej skały Hong-Kongu, Conrad ujmuje w te słowa (przytaczam z pamięci), że owa skała zwisała nad morzem, „jak strzęp Wieczystej Nocy". Trzy słowa genjalnego porównania są tu trzema synestezjami artystycznemi i dają wspaniałe, pełne wyobrażenie konkretu. Żadne opisy, żadne wyrażenia o grozie, czarności, majestacie, straszności, posępności, beznadziejności i tym podobne — nie dadzą tego, co daje skrót i zestawienie tych trzech słów, zresztą — tak skromnie, tak dostojnie użytych! Coby z tej skały zrobił Hugo albo Żeromski? Przynajmniej trzy stronice opisu. Co zrobiłby Balzac? Wcaleby jej nie zobaczył. A gdyby Flaubert się do niej zabrał, mielibyśmy drugą „Salammbô", ale... geologiczną.

Synestezje artystyczne w poezji mogą sięgać daleko, do wszystkich zmysłów, poczuć, nastrojów, wyobrażeń, są duszą porównań i przenośni, panują nad wzruszeniami, ukrywają się w słowach poszczególnych, w szeregowaniu słów, we zwrotach, w zdaniach, okresach i zestawieniach okresów, w budowie rozdziałów i większych części utworu poetyckiego. Bywają synestezje utajone w samym rytmie słów, albo w ich dźwięku. I posiadają swoje tajemnice, które czasem niepodobna rozumem zanalizować i odgadnąć. Poeta ma swój ton muzyczny, koloryt malarski, swoją linję rysunku, plastykę rzeźbiarską, swój styl architektoniczny, swoją postawę aktorską, swój ruch taneczny i pęd dramatyczny. Po czem to wszystko poznajemy? Nie zawsze wiadomo. Tyle tylko można utrzymywać z pewnością, że cały ten system cech znamiennych wspiera się na ogromnej, wysoce powikłanej sieci synestetycznej, rozpostartej w głębiach podświadomości, intuicji, instynktów, duchowych skojarzeń rasowych, narodowych, rodowych i osobniczych.

Synestezje w artyście, w dziele i w odbiorcy są głównym warunkiem powstawania możliwie pełnego wyobrażenia konkretu i płynącego stąd wzruszenia, bez czego niema sztuki. Lecz i odwrotnie — konkretny artysta i konkretny odbiorca, to znaczy — ludzie o określonych właściwościach rasy, narodu i osoby są nieodzownym warunkiem istnienia synestezyj artystycznych, a zatem — i sztuki w całem jej bogactwie, różnorodności, niezwykłości i nowości. Zapewne, że to są bardzo drogie rzeczy — te konkrety. Na małe cacko poezji chińskiej składa się kilka tysięcy lat historji narodu o kilkuset miljonach ludności w każdem pokoleniu. To zupełnie tak, jak na jeden miligram radu — tysiące tonn ziemi odpowiedniej, oraz ogrom pracy w kopalni, potem w fabryce, a w końcu w laboratorjum chemicznem. Naród ma swoje drogi i swoje przeznaczenia, ale bez niego nie byłoby sztuki.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ECHA MEDYCKIE

# WSPOMINKI O KASPROWICZU

KASPROWICZA, rówieśnika i przyjaciela mego ojca, poznałem w Zakopanem, w lecie, zdaje mi się roku 1898 lub 1899. Ruszał się wtedy żywo, trzymał, mimo barczystej postawy, bardzo prosto. Brody nie nosił, tylko wąsy małe, do góry podkręcone. Nosił zwykłe ubranie turystyczne z krótkiemi spodniami.

Przelotne to było poznanie, a wywarło na mnie silniejsze wrażenie, dopiero gdym je sobie uprzytomnił po dorwaniu się egzemplarza „Krzaku dzikiej róży" z szafy bibljotecznej rodziców. Kiedy w ciągu lat długich wracałem z każdych wakacyj na pensję poza dom, była mi ta książka jakby ciągłą rewelacją, ciągłem przypomnieniem, że jest coś, gdzieś, lepszego, — jakaś przyroda żywa poza mojemi szaremi murami, jakaś wiosna niegasnąca, kwitnąca nieprzerwanie, równolegle, obok i mimo wszystkich zmiennych, nudnych, ponurych nieraz, kolei czasu i losu. Wcześnie będąc wrażliwym na formę poetycką i zdając sobie sprawę z tego, że znam lepsze wiersze od tych, wracałem jednak do „Krzaku dzikiej róży", czując w nim wszechmocną siłę prostoty i prawdy. — Aby to wrażenie zrozumieć, trzeba uprzytomnić sobie zwykłą zarozumiałość bystrego smarkacza, który miarkował, że już czytywał lepsze wiersze, a respektu nauczyła go siła prostej treści tych właśnie.

„Krzak dzikiej róży" był jedną z poręczy, której trzymając się zdołałem przetrwać ciężkie czasy koniecznego duszenia mojej młodości w murach miasta i utrwalić w sobie poczucie, że jest coś jeszcze poza prozą faktów. — A był on może czemś więcej: był może początkiem świadomości, że jednak treść, nie fabularna, treść wewnętrzna człowieka, zdolna wybiec ponad formę, choćby jej opanować nie zdołała — jest jedynym probierzem wartości, wbrew tezom czystej, całkiem „czystej" sztuki.

Długo o tem mówiliśmy z Kasprowiczem po latach, po wydaniu „Chwil“ a przed „Księgą Ubogich“. Była to jakaś chwila, kiedy, rozochocony, był rozmowniejszy niż zwykle, a mówił z zapałem, że doszedł teraz dopiero do prawdziwej tajemnicy sztuki, którą jest powiedzieć jakbądź, nie zużywać się na formę. Nie zgadzałem się z tem, było to zresztą sprzeczne z tem, co mówił później. Kasprowicz był człowiekiem zmęczonym, a ta swoboda jest prawem zmęczonego człowieka. Był jak ktoś, któremu tytaniczne zmaganie się z formą nagromadziło ogromny materjał środków, coraz trudniejszy do ujęcia w rygor, jak ktoś, który doznał ataku serca i potrzebuje puszczenia krwi. Nie jest to więc tajemnica sztuki, ale tajemnica Kasprowicza, cudownego wypowiedzenia się szeptem, bo własnego krzyku już nie słyszał. Równocześnie podobnie zaczął pisać Orkan. Potem przyszli inni i myśleli, że tak można, zwłaszcza że to było wygodnie. Ale *si duo faciunt idem, non est idem*. Szept zmęczonego zasłużonem życiem wielkiego człowieka, a szepty buduarowych zakamarków, to nie jest to samo, wreszcie ani jedno ani drugie nie może być wytyczną zdrowej kultury.

*

Jakie wrażenie wywarła potem na mnie „Moja Pieśń Wieczorna“, można sobie wyobrazić. — Można sobie wyobrazić tembardziej, skoro powiem w jakich ją poznałem warunkach.

Przyszedłem w Zakopanem do Kasprowicza, który mieszkał wtedy daleko za ulicą Kościeliską, gdzieś aż przy Gąsienicowym Potoku, u żyda nad jarem, w który spadała droga, dzisiaj już zarównanym. — O ileż bardziej malownicze, o ileż piękniejsze były te dawne drogi, na których się koła łamało! — Przyszedłem zmówić się o jakąś wycieczkę.

Na ganku stał stary żyd z długą brodą i jego córka. Uderzył mnie wyraz ich twarzy zupełnie niezwykły. Uderzyło mnie to szczególnie, że znikł z nich zupełnie jakby ów pewien rys wiecznej semickiej ironji i lekceważenia bliźniego. Mnie, który może szczególnie dlatego właśnie byłem „pies na żydów“, wydał się ten człowiek od pierwszego wejrzenia sympatyczny, choć nie wiedziałem dlaczego. — Chciałem zapytać, czy Pan Kasprowicz w domu. Stary, jakby zbudzony ze snu, z bardzo poważną twarzą milcząco wskazał mi otwarte okno. Wtedy dopiero usłyszałem, że w pokoju Kasprowicz czyta. Czytał z rękopisu „Pieśń Wieczorną“ komuś, kto tam był. Nie pamiętam, kto to był, — może dr. Stefan Frycz, może St. Wyrzykowski. — Siadłem obok żydów i słuchałem.

Kasprowicz nie umiał czytać. Jeśli o kunszt lektorski idzie, to hymny jego recytował dobrze Juljusz Tenner wśród odczytów o poecie. Powiedział mu tylko raz Kasprowicz, że jeśli jeszcze kiedy zacznie śpiewać „Święty Boże“, to go zrzuci z katedry. — Kasprowicz nie umiał czytać. Niemniej, ta jakaś bezpośredniość, ta monotonja wygłaszania długiego, za długiego może do zwykłego czytania poematu, pełnego ponurego lamentu, powoli zalewała wszystkie myśli, opanowywała świat, nadając mu własny koloryt.

A właśnie był wieczór i z poza Gubałówki słońce różowo oświeciło góry, w pochyłem świetle jakby proch na drodze się uwyraźnił i cienie od drzew długie się pokładły... „Błogosławiona niech będzie ta chwila, kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy...“

„Hymny“ na długo pozostały w mojej pamięci. A szukając dróg własnych, długo nie mogłem się z pod ich wpływu otrząsnąć. Wpływ ten minął, ale zostało mi tem mocniejsze teraz poczucie wartości ducha, przebijającego się krok za krokiem w walce ciężkiej, przez nieprzebytą puszczę formy, w której własną siłą toruje sobie szeroką drogę, nie prześlizgując się w gąszczach kocim ani wężowym ruchem. I zostało mi tem większe przywiązanie do poety.

*

W tym okresie chadzaliśmy nieraz razem w góry. Włóczyliśmy się po Kościeliskach, Miętusiej, Smytniej, Tomanowej, szukając grot. Kasprowicz był towarzyszem doskonałym. Mówię: towarzyszem, ponieważ sam własną prostotą i dobrocią raczył mnie do takiego określenia ośmielić. Choć był rówieśnikiem mego ojca, nie dał mi nigdy odczuć, że nie jest moim, gdy plątałem się koło niego w mundurze gimnazjalnym. — A mimo poważnych i zawsze trochę smutnych oczu, nie opuszczał go nigdy niby marchołtowy humor. Mrużąc powoli oczy, a brwi podnosząc i nabrawszy oddechu, wygłaszał, akcentując dobitnie zgłoski, powoli i wyraźnie różne wesołe, trefne wprawdzie, ale nigdy niemoralne i nigdy dwuznaczne wierszyki i kawały.

Pamiętam raz, kiedyśmy się wybrali na Węgry, zawiało nas tak dokumentnie przy Morskiem, że obudziwszy się w schronisku u Burego, bo Towarzyskiego schroniska wtedy nie było, usłyszeliśmy z pola głosy stłumione jak w puchu. Był także wtedy prof. Szelągowski. Dwadzieścia cztery godziny wytrzymawszy na popijaniu herbaty z winem i na grze w domino, oświadczyliśmy wreszcie przewodnikowi, Józefowi Gąsienicy, że, było nie było, pójdziemy przez Rysy. Poszliśmy. Póki śnieg był po pas, było pół biedy, choć ciężko, ale po skorupie lodowej, na turniach i bez podkutych butów, nie było to tak proste, zwłaszcza dla Kasprowicza, który duży ciężar własny musiał dźwigać. Przytem miejscami słońce tak prażyło na śnieg, że obaj starsi panowie, którzy wówczas czarne brody nosili, byli wkrótce opaleni jak Beduini. — Na szczycie spotkaliśmy dwu Niemców, którzy wyszli od południa, powiązani linami mimo że z tamtej strony śniegu nie było, a wyjście, jak wiadomo, bardzo łatwe. Ci się bardzo dziwowali, którędyśmy się tu dostali. — Przy Popradzkim stawie spotkaliśmy pewnego d-ra B., człeka niedźwiedziej postawy i siły, który chodził po Tatrach sam, nie wiadomo jednak w jakim celu, gdyż męczył się okrutnie i narzekał, że za mało tu schronisk i restauracyj. Wyszliśmy z nim nazajutrz na Krywań, jako że poczciwy Kasprowicz ochotnie przyjął go do towarzystwa, do którego się tenże wprosił. Kiedy jednak p. B. na Krywaniu, niczego już nie chcąc widzieć dokoła, płakał i klął, że niema na takim szczycie bodaj karczmy, gdzieby się można piwa napić, jął Kasprowicz przemyśliwać, jakby się towarzysza pozbyć, i również klął na uboczu. Pojednawczy prof. Szelągowski szukał formuły porozumienia między Gdańskiem a Polską, tylko ja, najbardziej otwarcie, z młodym góralem Fronkiem, niosącym rzeczy, dogryzałem niedźwiedziowi. Kiedy potem zeszliśmy w Cichą dolinę, a ten, cały dzień wlókł się i więcej słów zrzędliwych narobił, niż kroków, nie mogłem już wytrzymać i z Fronkiem pobiegłem naprzód, drąc się przez kosówki ku Zaworom do góry. W dwie godziny później przyszedł tam Kaspowicz z profesorem, kapitulując z uprzejmości,

która im cały dzień zepsuła (dzień był cudny), a zostawiwszy tylko przewodnika panu B.

*

W tych czasach bywało u nas na Kozińcu wielu ludzi interesujących, a starzy i młodzi zabawiali się przez całe lata rozmaitemi, czasem bardziej, czasem mniej niewinnemi igraszkami. Mieszkała wtedy u nas Maryla Wolska, kapłanka prasławiańska, świeżo po wydaniu swego „Święta Słońca". Raz, ojciec mój przyniósł piłkę nożną ciężkiego kalibru, w sam raz nadającą się, jak się pokazało, do rzucania nią po pokoju. Zaraz Maryla Wolska ochrzciła ją imieniem Weles, czyli księżyc, co Kasprowicz zdrobnił na Waluś, brał też udział w tych chrzcinach i p. Stanisław Witkiewicz. Z wyjątkiem mej matki, filozoficznie patrzącej na ewolucje Walusia nad lampami i bretońskiemi fajansami, wszyscy brali udział w meczach. Kasprowicz wprawdzie, jak i przyszła moja teściowa, pomna na swe pięcioro dzieci, stateczniej, ale różnicy wieku nie bardzo tam widać było. Wieczorami znowu urządzało się turnieje poetyckie, sekretarze rymowane, wiersze do rymów zadanych, poematy na temat, zbiorowe rapsody rozmaite, do których i Kasprowicz coś gdzieś tam czasem dorzucił, ale mu to jakoś nie szło i zwykle z ołówkiem siedząc chwilę, schował go wreszcie, albo coś zaczął rysować. My, szczególnie ojciec mój i Maryla Wolska, mieliśmy do tej zabawy jakieś lżejsze pióra, a kiedy się co udało, Kasprowicz zaśmiewał się z uciechy. — Zresztą, wieczorami zachodził rzadko.

*

Kiedym się do wieku dojrzałego wydźwignął, przypadł inny, poważny okres moich relacyj z Kasprowiczem. Zacząłem wydawać „Lamusa". Pamiętam, jak na początku, zdaje mi się, jeszcze przed wyjściem pierwszego numeru, przyszli do mnie, obaj ze Staffem, do znajomych, gdzie mnie znaleźli w Krakowie, siedli na jakimś kufrze i poczęli radzić. Jakoś się tak ułożyło i przyjęło, że „Lamus" zdobył sobie bardziej życzliwą współpracę, niż inne pisma. Wolno mi było przyjść, przerzucić, wybrać, co kto miał w tece, odesłać, co mi nie „pasowało", mimo że honorarja płaciłem skromniejsze od innych. Nikt się na mnie nie gniewał, uważając to za moje prawo, rozumiejąc potrzebę decyzji redaktora, co do harmonji pełnego akordu pisma. Zgodził się z tem odrazu Pan Leopold, pozwolił mi też na to Kasprowicz. A ile razy przyszedłem do niego, prosząc o przetłumaczenie mi czegoś, nie odmówił nigdy, choć miał nieraz pilniejsze prace. Tak powstało kilka przekładów w „Lamusie" drukowanych, tak też, na moją prośbę, przełożył tysiącowierszowy poemat Hussowskiego „*de natura bisontis*", którego tylko korektę przed wojną ukończyć zdołałem, ale którego skład został rozbity i dotąd niewydrukowany. Skrypt ten przesłałem później Pani Marji Kasprowiczowej, a ma go podobno opublikować dr. W. Ziembicki w monografji polsko-francuskiej o żubrze, wydawanej przez Tow. Łowieckie. Żałuję dziś jednak, że mogąc tak samo prosić Kasprowicza o napisanie czego innego, zabrałem mu czas tym przydługim i dosyć nudnym poematem, do którego się zresztą wcale ochotnie zabrał i stosunkowo szybko go wykończył. Ostatnie wiersze Kasprowicza, jakie „Lamus" drukował, były z cyklu „Chwile". „Co pan o tem powie?". Byłbym powiedział dużo o formie i więcej jeszcze o treści, która mi cichą radość sprawiła, — ale nie mogłem nigdy przyzwyczaić się, mimo dobroci jego i serdeczności, do rozmowy z jednego poziomu o jego sprawach. Skończyło się na wyżej wspomnianej rozmowie, kiedy postawił mi nową tezę stosunku do formy. Co ja mówiłem, tego oczywiście nie pamiętam, nie było to też pewnie nic ważnego.

*

Wreszcie jeszcze jeden epizod:

Studjowałem na uniwersytecie lwowskim literaturę porównawczą i historję sztuki. W r. 1910 złożyłem pracę doktorską p. t. „Literatura i sztuka jako wyraz objektywnych i subjektywnych pierwiastków w odczuwaniu przyrody". (Tytuł skomplikowany, zaznaczający równorzędność sztuki i literatury z których chciałem być egzaminowany). Nieodżałowany prof. Antoniewicz, przeczytawszy moją pracę, wpadł w dylemat i wątpliwości, które go bardzo zaniepokoiły. Rzecz była bardzo nowa,— czy dobra, nie wiem, mnie dzisiaj nie zadowala. Prof. Antoniewicz perswadował mi: „Panie, ja się na tem nie znam, tu wogóle nikt się na tem nie rozumie. Niech pan z tem jedzie do Lipska. Bo niechże pan sam powie, co ja mam robić: jeżeli praca pańska jest genjalna, a ja ją odrzucę — to powiedzą, że Antoniewicz dureń, bo się na tem nie poznał, — jeśli jest nic nie warta, a ja ją przyjmę, to powiedzą to samo". Nic nie pomogła interwencja dziekana, — na miejsce prof. Antoniewicza pracę przyjął i uznał za odpowiednią prof. Hadaczek. Prof. Kasprowicz, który właśnie objął katedrę literatury porównawczej, postąpił inaczej: „Panie Michale, pan będzie mój pierwszy doktór, tem sumienniej i ja muszę się przygotować do pańskiego egzaminu. Ja wprawdzie jeszcze nie rozumiem pańskiej pracy, choć założenie mi się podoba, ale ja ją chcę zrozumieć i przekonać się, czy pan ma rację i czy pan jej dobrze broni. Niech mi pan dostarczy wszystkich dzieł, jakie pan do tego przestudjował, na jakie pan się powołuje i które zbija". A było tego dosyć, tyle, że Pan Jan oświadczył mi, iż był gotów do mego doktoratu... po trzech latach. Ale wtedy już studjowałem rolnictwo i nawaliłem sobie na głowę tyle innych spraw, że trudno byłoby mi było wracać do tych rzeczy, zaniechałem więc starania o tytuł, na którym mi nie zależało, i nie miałem o to żalu do nikogo.

Ta sumienność, to ciężkie, skrupulatne traktowanie obowiązków przez Kasprowicza nigdy nie było dostatecznie podkreślone. Wie się o nim, że był wielkim poetą, wie się też, że był człowiekiem niezmiernej dobroci i wielkiego serca — wie się też, że umiał to być dobry kompan w cygańskiem towarzystwie artystycznem, ale nikt nie zdaje sobie sprawy z tego poczucia powagi spraw, których się podjął, z tej solidności przekonań i solidności obywatelskiej, które go cechowały. Kasprowicz był mocarzem wysiłku, przez który prowadził go niezłomny charakter, tak jak przez opór formy prowadziła go jego wielka, czująca dusza i gorące serce poety.

*

Nie wysłowię tu jego chwil na Harendzie. Poznali go wtedy zresztą i inni.

Niech mi tu wolno będzie tylko głęboki hołd złożyć jego małżonce. Ona to stworzyła dokoła niego tę ciszę bezwietrznego zachodu, w której można było usłyszeć prawie już szeptem wyśpiewane jego najpiękniejsze pieśni.

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

# NA WIDOWNI

Pacyfizm „wojujący". — Interwencje w imię „samostanowienia". — „Przełom" o dążeniach do wojny z Rosją. — Czy „nie kijem go, to pałką"?

INTERESUJĄCĄ depeszę zamieściły przed kilku dniami dzienniki:

PARYŻ (Ż. A. T.) — Po zdjęciu z afisza, z powodu ciągłych awantur, „Sprawy Dreyfusa" przez teatr Ambigu, sztuka ta będzie grana przez teatr „Bataclan". Związek b. żołnierzy — pacyfistów postanowił przeciwstawić się anty-republikańskiemu ruchowi rojalistycznemu i ochraniać przedstawienia „Sprawy Dreyfusa"...

Budujące zaiste refleksje nasuwa powyższa krótka wiadomość. Jakże ofiarna, nieustannej czujności i gotowości do walki wymagająca, jest służba... pacyfisty! Oto zwykli, normalni byli żołnierze, nie „pacyfiści", mogą sobie, w dżdżyste, chłodne wieczory, spokojnie grzać się w cieple domowego ogniska, palić fajkę albo układać pasjansy. Czemuż mieliby przerywać miły wypoczynek z powodu, że grupa młodych rojalistów z *„Action Française"* niezbyt pochlebnie zapatruje się na rolę historyczną, odegraną przed laty przez b. p. kapitana Alfreda Dreyfusa? Ale nie dla pacyfisty takie wczasy... On musi, uzbrojony w kastet, kij albo rewolwer, śpieszyć na wyznaczony przez swego komendanta posterunek, aby, choćby z narażeniem się własnem, „ochraniać" przedstawienie antymilitarystycznej sztuki teatralnej. Oczywiście, będzie bijatyka: takich nacjonalistycznych *camelots du roi* nie przekona się przecież i nie nawróci jakiemiś sentymentalnemi kazaniami. A że ruch narodowy trwa, nawet się szerzy, trzeba będzie ustawicznych bójek, walk, krwi rozlewu, iżby idea „pokoju wieczystego" i „powszechnego braterstwa" jako tako mogła się utrzymywać na powierzchni...

Nacjonalista wie, że wojna jest niekiedy rzeczą niezbędną, umie cenić wielkość i piękno cnoty rycerskiej, ale zdaje sobie sprawę, że starcie wojenne — to dla narodu próba zawsze ciężka i niebezpieczna i decyduje się na nią tylko w ostateczności, jeżeli godność narodowa i dobro ojczyzny nie pozwalają na powzięcie odmiennego postanowienia. Pacyfista, uważający nacjonalizm i militaryzm za przekleństwo ludzkości, łacno może dojść natomiast do wniosku, że dla oswobodzenia świata od tej klęski nie powinien wahać się przed żadnemi ofiarami, nawet najbardziej ryzykownemi. Gotów, zapamiętawszy się, rozpoczynać „wojnę świętą" z każdym ludem, na najdalszych nawet krańcach ziemi, który idej pacyfistycznych nie chce podzielać.

W ostatniej, niedokończonej komedji de Flers'a, pisanej z de Croisset'em p. t. *„Les précieuses de Genève"* jest pełna humoru scena: w Genewie, w hotelu des Bergues, zastanawiają się, w jaki sposób mogą być rozmieszczeni w jadalni delegaci państw, którzy przybyli na Zgromadzenie Ligi Narodów. Ktoś pyta się, czy przedstawicielom Boliwji zarezerwowano stolik w sąsiedztwie przedstawicieli Urugwaju. „Ach, nie" — oświadcza zarządca hotelu — „musieliśmy ich umieścić w innej sali, ponieważ bili się z Urugwajczykami". — „Z jakiego powodu?" — „Powód zawsze ten sam: sprawa rozbrojenia"...

*

Jeśli pacyfizm nieraz może dać sposobność do zatargów i wojen, to najczęstszym bodaj pretekstem do mieszania się w nieswoje sprawy, stała się w czasach obecnych... zasada stanowienia narodów o sobie.

W przełamanym stale pod względem linji ideowej, pół-pułkownikowskim „Przełomie", zamieścił ostatnio (nr. 14) p. Gustaw Leinwandhaendler artykuł p. t. „„Za naszą i za waszą", czy za *„Royal Dutch"?*" Omawia w nim „pokutujące w świecie słuchy o jakimś, bliżej nieokreślonym „bloku antysowieckim"" i oświadcza:

„Tak czy inaczej, walić będzie obuchem prawda, że istotnie tu i owdzie w Europie myślą o roznieceniu pewnego pięknego dnia pożaru na naszej granicy z Z. S. S. R. w imię interesów wrogiej nam finansjery międzynarodowej. A że ta granica jest nasza, i że cała bankierska Europa i Paneuropa nie potrafią zademonstrować wojenki nie na polskiem terytorjum, więc my tu bodaj najwięcej mamy do powiedzenia, już zgóry radząc bojowo (naszym kosztem) nastrojonym maklerom i... „hurrapacyfistom", aby w swych planach „akcji strategicznej", „interwencyjnej" i „cywilizacyjnej" nie liczyli przypadkiem na polską sympatję lub polskie obszary brali w rachubę, jako bazę wypadową... dla ich ciemnych celów...

Coraz głośniej... mówi się w Paneuropie o gospodarczem porozumieniu, o jakiejś nowej ententcie, o krucjacie zachodniego kruszczu przeciw „piatiletce"... Warto jednak ująć się ambicji własnej, państwowej, warto upomnieć się o tolerancję dla logiki, dla rozsądku, dla polskiej racji stanu, która nie poświęci ani bagnetu, ani jednego mazura w mundurze, ani jednego śląskiego „pierona" — awanturze anonimowych konkistadorów i kondotjerów"!

Serce rośnie, gdy się czyta takie deklaracje. Rośnie wiara, że — pomimo wszystko — istnieje polska racja stanu, powszechnie uznana, objektywna, której nakazy obowiązywać muszą niezmiennie, niezależnie od przesuwania się jednostek i grup politycznych, kolejno ujmujących w swe ręce władzę w Państwie. Atoli końcowe zdania artykułu p. Leinwandhaendlera zaczynają napełniać troską i niepokojem:

„Wierni naszej misji na Wschodzie mocno wymawiamy dostojne hasło: za naszą i za waszą wolność... Tak nam każe świadomość braterstwa z pognębionemi narodami Ukrainy i Białejrusi...

Przyjdzie czas, przemówi splot wydarzeń, to znów ruszą do walki o wolność, szeregi polskich żołnierzy...

My się bijemy za Wolność a nie za *„Royal Oil Dutch Co"*... Za wolność wszystkich narodów od morza do morza".

P. Gustaw Leinwandhaendler nie jest Konradem z „Wyzwolenia" Wyspiańskiego, który pokonał frazes romantyczny, nie jest bodaj wogóle Konradem, co „kochał wielu... kochał wiele", jest istotnie, zdaje się, przedewszystkiem rozmiłowanym w pojedyńczej osobie — Gustawem. Oczywiście, nie będzie chciał „interwenjować", ażeby na tronie carów osadzić Wielkiego Księcia Cyryla Romanowa, ale przed wzrokiem wyobraźni przesuwa mu się może wizja ponętna: oto któryś głośny pułkownik z „Europejskiej", na białym koniu, niesie wolność ludom uciśnionym...

Gdyby p. Leinwandhaendler ujmował rzecz mniej romantycznie, zapewne zjawiłoby się w jego umyśle podejrzenie, że przemysłowcom naftowym z *„Royal Dutch"* dość obojętne mogą być losy tronu Rurykowiczów i Romanowów, i że nie najważniejszem wcale dla nich zadaniem byłoby może „restaurować tego Cyryla na Kremlu". Napewno wszakże nie obojętne będzie dla nich, czy tryskające naftą tereny Kaukazu należeć będą do jednej, silnej, carskiej czy bolszewickiej, ale mogącej dyktować warunki kapitałowi międzynarodowemu — Rosji, czy też, przeciwnie, powstaną na owem miejscu niewielkie, słabe, uzależnione od obcych

wpływów państewka, oddzielone ponadto od Moskwy, „oswobodzoną” również i również na wpływy kapitalistów zagranicznych podatną Ukrainą.

Hasło „za wolność“ łączy się bowiem nieraz bardzo ściśle z nieidealistycznemi bynajmniej kalkulacjami oraz interesami. W r. 1903 republika środkowo-amerykańska, Kolumbja, na której terytorjum przekopany został kanał panamski, odmówiła wyrażenia swej zgody na polityczne i gospodarcze żądania Stanów Zjednoczonych, dotyczące eksploatowania tego kanału. Nieoczekiwanie całkiem, ludność, zamieszkująca strefę, sąsiadującą z kanałem, rozgorzała namiętnem umiłowaniem swobody: wybuchnęła rewolucja, poczem odłączyła się od Kolumbji i ogłosiła niepodległość nowa rzeczpospolita — Panama. Wierne swoim tradycjom wolnościowym, Stany Zjednoczone, już w przeciągu trzynastu dni uznały *de iure* całkowitą niezawisłość młodej republiki. Już w pięć dni później zawarły z Panamą układ w sprawie korzystania z kanału na warunkach, na które poprzednio nie chciała zgodzić się Kolumbja.

Gdy się zważy to wszystko, stanowisko „Przełomu“ wobec nastrojów, oddawna już wytwarzanych przez niektóre czynniki międzynarodowe dla pociągnięcia Polski do powszechnej jakiejś, a dla interesów naszych zgubnej wojny przeciwko Sowietom, przypomina trochę, jak się zdaje, starą anegdotę:

Stado owiec szło przez wązką kładkę nad rzeką. Jedna z nich pośliznęła się i wpadła do wody. Odtąd wszystkie, doszedłszy do tegoż miejsca, zatrzymywały się i skakały do rzeki wślad za swą towarzyszką. Na końcu stada szedł samotnie mądry baran i rozmyślał: „Co, i ja także miałbym owczym pędem topić się razem z innemi?“ I skoczył z kładki do wody. Ale z drugiej strony.

JAN REMBIELIŃSKI

# NAUKA I LITERATURA

## POLEMIKA

W CZTERNASTYM zeszycie „Myśli Narodowej“ ukazała się napisana przezemnie notatka, w której dałem wyraz zdziwieniu, że w jedenastym roku od odzyskania niepodległości literaci nasi przedmiotem swej sztuki czynią... stypendja, udzielane im przez M. W. R. i O. P. Jako przykład podałem, że w książce p. Zofji Meissnerówny — „Otwórz, to ja“ — przedmiot ów jest centralnem zagadnieniem. Notatkę zakończyłem uwagą: „...ministerstwu oświaty, które mimo tylu słusznych uwag, zastrzeżeń i protestów w dalszym ciągu uważa rozdawanie żebraczych zapomóg za „popieranie literatury“, przyszedł sukurs ze strony zgoła nieoczekiwanej. Jałmużna, którą dyskrecjonalnie dysponują włodarze z Al. Szucha — doczekała się swego piewcy“.

Notatka ta wywołała zgoła nieoczekiwany przezemnie atak ze strony „Tygodnika Ilustrowanego“. W zeszycie 13 tego pisma p. W. ogłosił artykulik p. t. „Stypendja“, w którym na wstępie czytamy:

„Myśl Narodowa“ drukuje artykuły, z których tendencją można się zgadzać lub nie zgadzać, ale które najczęściej są interesujące i godne przeczytania. Tem przykrzejszy kontrast stanowi w tym tygodniku dział publicystyczny i kronikarski, który różne zagadnienia kulturalne, polityczne i społeczne traktuje z taką dynamiką niechęci do wszystkiego, co nie podpada pod jego sztandar, że musi wywoływać niesmak i wzruszenie ramion.

Można być przeciwnikiem stypendjów literackich udzielanych przez Ministerstwo W. R. i O. P., można krytykować sposoby ich repartycji, ale nie można sprawy subsydjowania literatów przez państwo traktować w ten sposób, jak to uczynił T. B. S. w n-rze tego tygodnika“.

Przytoczywszy następnie notatkę moją w całości, aby mu „nikt nie mógł zarzucić zaciemniania sprawy przez złe streszczenie“ — pan W. kończy:

„Zdaje się, że w tej krytyce niema nic poza żółcią tetryka, który takiemi przykremi słowami jak „jałmużna“, chciałby poniżyć sprawę ważną, pożyteczną i wszędzie na całym świecie praktykowaną. Mógłby kto pomyśleć, że to poprostu zazdrość odpalonego kandydata, jeszcze jedna odmiana bajeczki o lisie i o kwaśnych winogronach“.

Co do „zazdrości odpalonego kandydata“ mógłbym zapewnić czytelnika, że kandydatem do stypendjum literackiego nigdy nie byłem — tę jednak mocno osobistą i niewłaściwą, zdaniem mojej, dygresję, uczynioną na łamach poważnego pisma, muszę skwalifikować jako metodę, łagodnie mówiąc, niepoważną i niekulturalną. W artykule p. W. są jeszcze inne niedociągnięcia i niekonsekwencje — przechodzę jednak nad niemi do porządku, chcąc oświetlić rzeczy ważniejsze i istotniejsze.

Pytanie pierwsze: czy stypendja, udzielane przez ministerstwo literatom, są jałmużną, czy też — jak chce „Tyg. Ilustrowany“ — „sprawą ważną, pożyteczną“?

Stypendja mogą w zasadzie mieć w poszczególnych wypadkach wartość pozytywną, jednakże „popieranie literatury“ w tej właśnie, prawie wyłącznie, formie—doprowadza raczej do szkodzenia sztuce i jej celom. Aby nie „wywoływać niesmaku i wzruszenia ramion“ i wobec zarzutu, że w dziale publicystycznym „Myśli Narodowej“ różne zagadnienia kulturalne traktuje się „z dynamiką niechęci dla wszystkiego, co nie podpada pod (jej) sztandar“, wysłuchajmy najzwięźlejszej bodaj opinji osób, które z obozem narodowym nie mają nic wspólnego. Oto zdanie „piłsudczyka“ Stanisława Szukalskiego, artysty z za oceanu, a więc człowieka, który, bawiąc w Polsce bardzo krótko, dał się jedynie poznać ze swej odwagi cywilnej i bezkompromisowości:

„Jeżeli te olbrzymie sumy wydawane rok — rocznie nie zmieniają toku naszej sztuce i kulturze, to dlatego, że ci, co dysponują funduszami, nie mają programu, wzamian tego zaś, wystarcza im ślamazarna rozrzutność filantropijna.

Ci, co talenty mają, a jest ich tak mało, nie chcą jałmużny danin, i nigdy nie przyjdą wyłuszczać swą wartość urzędnikowi departamentu — a sama świadomość jakości swego talentu zgóry upewnia ich, że dlatego właśnie będą pominięci.

Nie chodzi nam o to, by p o p i e r a ć, lecz c o popierać... — Nie chodzi o p o p i e r a n i e, lecz o m ą d r e popieranie.

Daje się stypendja rozliczne ludziom, co uprawiają ducha bezrasowości, popiera się malarzy, co malują wedle mody Paryża, wysyła się stypendystów do Paryża, by przesiąkli beznarodowizmem modernizmów, „zamiast ich ochronić od tej degradacji“.[1])

A oto zdanie w tej sprawie p. Stan. Baczyńskiego, redaktora miesięcznika „Europa“ — pisma, które żadną miarą nie jest bliskie ideologji „Myśli Narodowej“:

„Pomoc, jaką państwo udziela pisarzom, ujawnia się w stypendjach. Dawane są one w formie zapomogi — od pisarza w zamian nie żąda się pracy, nie kupuje się od niego książek — daje mu się poprostu jałmużnę. Ta żebranina — nieuchronna wprost w naszych opłakanych warunkach — nietylko obniża poziom moralny pisarzy, ale i nie osiąga żadnych widocznych rezultatów. Znikoma ilość polskich wydawnictw pokrywana jest przeważnie

---

[1]) Stan. Szukalski: Opinja Jednego. „Polska Literacka“, nr. 2).

przez autorów nienagrodzonych stypendjami. Gospodarka pieniędzmi państwowemi i w tej dziedzinie jest zupełnie nieracjonalna, a nawet wręcz szkodliwa. Stypendjum jest pomocą dość naiwną, nie zmierzającą bynajmniej do poprawy przysłowiowej już doli „chudego literata". Te tysiące, dziesiątki tysięcy złotych, wydawane bezprogramowo i bezprodukcyjnie na „zapomogi", mogłyby pójść na zorganizowanie państwowego instytutu wydawniczego, gdzie płaconoby autorom za rzetelną pracę, za dzieła wartościowe — miast ich poniżać jałmużną, jak to się teraz dzieje.[2])

Zauważmy: w obu opinjach stypendja ministerstwa nazwane zostały „jałmużną", pierwszym szczeblem „degradacji", „żebraniną", „poniżaniem" i t. p. Niechże się tedy szan. redakcja „Tyg. Ilustr." dowie, że nazywając moją krytykę „żółcią tetryka" stosuje ten, powiedzmy, epitet do Szukalskiego, Baczyńskiego i wielu innych artystów polskich, którzy się w rozmaitej formie z podobną krytyką wielokrotnie solidaryzowali. A z opinij tych wynika, że „sprawa ważna, pożyteczna" staje się nagle nieracjonalną, śmieszną, małą, ba, wręcz szkodliwą, i to w oświetleniu nietylko „endeków", lecz — może to będzie dla „Tyg. Ilustrowanego" wskazówką i kryterjum — „postępowców" i „radykałów"...

Pytanie drugie: czy przyznawanie stypendjów jest rzeczywiście akcją „powszechnie znaną"?

Zauważyłem już w zaatakowanej przez p. W. notatce, że stypendjami dysponują dyskrecjonalnie włodarze z Al. Szucha. Pomimo tajemnicy coś nie coś przedostaje się przecie do uszu „kół literackich" i przez to można już urobić sobie właściwy pogląd na tę sprawę: rozdział stypendjów zakrawa w świetle tych wiadomości na niesmaczny żart ministerstwa.

Brak miejsca nie pozwala mi na dalsze rozwinięcie tego interesującego ogół literatów polskich zagadnienia. Lecz i w świetle tych kilku uwag czytelnik zorjentuje się, gdzie szukać „żółci tetryka", i dlaczego „pomoc literaturze", wyrażona w dzisiejszej formie stypendjów, w naszem środowisku podobać się nie może...

TEOFIL BERNARD SYGA

## ZE ŚWIATA LITERATURY

Szeroko znany w społeczeństwie utalentowany poeta i krytyk, Zdzisław Dąbicki, otrzymał nagrodę literacką m. Warszawy, za całokształt swojej działalności pisarskiej. Wybór, dokonany przez komitet konkursowy, zasługuje ze wszech miar na uznanie. Po 30-letniej zgórą ciężkiej pracy pisarz, uczciwy, oddający i talent swój i wszystkie swoje siły służbie publicznej na rzecz literatury i kultury, zasługuje na uwagę i na jakiś gest dziękczynienia. Jesteśmy właśnie pod wrażeniem świeżo napisanej przez Zdz. Dębickiego książki „Iskry w popiołach" (wyd. księg. św. Wojciecha), książki bardzo pięknej. Opisuje w niej Dębicki swoje lata uniwersyteckie we Lwowie (1895—1899). Znajdzie tam czytelnik wiele ciekawych rzeczy, znakomicie opowiedzianych, a przedewszystkiem mimowolną charakterystykę osoby autora. Wielkim urokiem tych wspomnień jest to, że pisze je człowiek szlachetny i promienny.

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Władysław Tarnawski, prof. literatury ang. na uniw. J. K. we Lwowie, wydał ostatnio nową pracę p. t. „Szekspir", książka dla młodzieży i dla dorosłych. (Lwów, wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, 1931, stron 301)

Autor „Krzysztofa Morlowe" i „Historji literatury angielskiej" spłaca w tej książce dług wdzięczności ukochanemu swemu poecie, którego dzieła, jak nam to opowiada w rozdz. I książki, w dzieciństwie już były jego ulubioną lekturą i bodaj że rozstrzygnęły o kierunku jego studjów. Tym razem pisze Tarnawski z myślą przedewszystkiem o młodzieży, to też uwalnia ową piękną książkę niemal całkowicie od balastu cytat naukowych, a natomiast przeplata ją obficie streszczeniami i wyjątkami z dzieł poety i nie skąpi też cennych objaśnień rzeczowych.

Książka zawiera obszerny wstęp, poświęcony charakterystyce literatury angielskiej, a szczególnie rozwoju dramatu przed Szekspirem, z uwzględnieniem tła dziejowego, następnie życiorys poety i przegląd jego twórczości (charakterystykę utworów) wreszcie zwięzłą charakterystykę poety, podkreślającą jego doniosłe znaczenie dla literatury wszechświatowej i dla rozwoju kultury.

Dzieło prof. Tarnawskiego, pisane niezwykle jasno i z ogromnem umiłowaniem przedmiotu, w dziejach kultu dla Szekspira staje u nas godnie obok książek Matlakowskiego i prof. Pinińskiego. Różni się od nich wybitnie popularnym swym charakterem, ze względu na cel, któremu służy. Nie wątpimy, że niebawem stanie się ono ulubioną lekturą dojrzalszej młodzieży i wejdzie w skład bibljotek uczniowskich.

(M. T.)

*

„Słownik Architektów i Budowniczych Polaków oraz Cudzoziemców w Polsce pracujących" (str. 494) w opracowaniu Stanisława Łozy wyszedł teraz nakładem Kasy im. Mianowskiego. Przeszłość i teraźniejszość Polski, „zaklętą w formę budownictwa" odtworzył autor w sposób żywy i plastyczny. „Słownik Architektów" jest ciekawą lekturą, panoramą dziejów i obyczajów, historja cechów mularskich, sztuki, kultury, religji i szkolnictwa. Obok imienia, nazwiska, dat i studjów danego architekta, podaje Słownik spis dzieł dokonanych, wraz z trafnemi do nich komentarzami. Budynki to o różnem społecznem przeznaczeniu, kościoły, cerkwie, zbory i synagogi, zamki, pałace, budynki publiczne, pomniki, kamienice, wille, grobowce. Często zdarzało się, że budynki te ulegały, zwykle na niekorzyść, przebudowie, przeróbce ze względów praktycznych, albo i wszystko niszczącej zagładzie czasu. Podziwiać trzeba talent syntetyczny autora, a równocześnie pracę benedyktyńską, z jaką czerpał materjały z nieprzeliczonych źródeł drukowanych i rękopiśmiennych, polskich i obcych, archiwów, pamiętników, notat i listów, artykułów naukowych i dziennikarskich. Dał dzieło dojrzałe i żywotne, dzieło pomnikowe. (A. W.)

*

Powieść biograficzna nieszczególnie udaje się na gruncie polskim. Wołoszynowskiego powieść o Słowackim właściwie powieścią nie jest, choć trudno jej odmówić miana pięknej książki. Drugą próbą nieudałą, ale zarazem przykrą, powieści biograficznej jest „powieść" o Zapolskiej p. Kalas. Sposób w jaki p. Kalas to życie smutne i bujne, pełne niepohamowanego temperamentu ujęła — jest skandaliczny. Nie w tem ostatecznie tkwi skandal, że p. Kalas przedstawiła życie Zapolskiej bez obsłonek, nie pomijając najboleśniejszych i najbardziej przykrych momentów jej życia, była rzekomo do tego upoważniona i zachęcona przez Zapolską samą. Ale nietaktowne i wręcz niekulturalne jest łączenie nazwisk szeregu żyjących jeszcze osób z pewnemi przykremi przejściami Zapolskiej. Nazwiska podaje p. Kalas inicjałami. *Ale sapienti sat.* Łatwo sobie wyobrazić, jakie konsekwencje mieć może podobny nietakt, powodowany jedynie chęcią zdobycia rozgłosu kosztem dobrego imienia innych. Okropna francuzczyzna, którą się autorka tu i ówdzie posługuje, dyskwalifikuje tę powieść do reszty. (A. J.)

# TEATR

## NOWY DRAMAT Z. NAŁKOWSKIEJ

Po „Domu kobiet" nastąpił dom zbrodniarza p. t. „Dzień jego powrotu". Nowe dzieło p. Zofji Nałkowskiej wystawił teatr Narodowy. Po tych dwu sztukach można już mieć pewność, że literatura zyskała w p. Nałkowskiej dużej miary pisarkę dramatyczną. Ujawniła się indywidualność, wyrastająca ponad rzemiosło; powieść okazała się środkiem niewystarczającym, jęła się dramatu; i każdy rodzaj jest jej posłuszny.

Pała do człowieka ciekawością. Niewątpliwie nie byłoby tej ciekawości, gdyby nie współczucie, ale do niego nie przyznaje się. Jest z tego pokolenia, które poniechawszy kosmologji i metafizyki, zajęło się człowiekiem, stosunkiem człowieka do człowieka. Nałkowska należy do artystów, którzy stracili z oczu, że genezą tych zainteresowań był ruch społeczny, i widzą tylko człowieka. Rozważają go jako zagad-

[2]) Sprawozdanie z odczytu p. Baczyńskiego w Klubie Artystycznym — „Gaz. Warsz." z dn. 17. II. 1931.

kę psychologiczną. Zarówno zagadnienie kobiety w poprzedniej sztuce, tak wybitnie w genezie swojej społecznikowskie, jak i zagadnienie mordercy w tej nowej sztuce, traktuje w oderwaniu od środowiska, jako systemu praw społecznych. Interesuje ją zagadka duszy w sobie samej. Psycho-analiza nowoczesna ma trochę zdziwione oczy, jakby patrzała pierwszy raz na człowieka, ale że wszyscy wybitni pisarze, studjujący człowieka, byli psycho-analitykami, więc i dzieła p. Nałkowskiej przypominają Dostojewskiego, potrochu Ibsena (Dominik Ilecki). Idąc w tym kierunku za ciekawością w głębiny maszynerji ducha i ze zdziwieniem wglądając w grę instynktów, mimowoli dąży umysł w kierunku, prowadzącym do metafizyki lub mistycyzmu. I znowu potem wraca do człowieka historycznego, aby się dziwić, w jaki sposób życie, niosące pomoc instynktom, wytworzyło złożonego cywilizacyjnie człowieka.

P. Nałkowska z pasją analizuje. Ma swoją metodę: zgęszcza życie człowieka na jeden dzień krytyczny, do jednego pokoju. W dramacie wyraża się to powrotem do klasycznej jedności czasu i miejsca. A potem robi przekrój.

Badając zwyrodniałego człowieka, Ksawerego Ileckiego, dysponowanego do popełniania morderstw, daje ogólne wyjaśnienia atmosfery moralnej, w której lasecznik zbrodni się wyhodował. Była to wojna, będąca nieodzownością dla człowieka, który z natury jest zbrodniarzem i czeka na tę chwilę, aby mógł swój instynkt wyładować.

W pokoju tego dnia ze zbrodniarzem, który właśnie odsiedział więzienie, ale zaraz popełni nowe morderstwo, mają do czynienia cztery osoby. Z nich trzy określają co do niego swój pojęciowy i uczuciowy stosunek: ojciec, żona i panienka. Z tych trzech ojciec, formacja przedwojenna, wypowiada się kategorycznie: zbrodniarzowi świat wybaczyć winy nie może. Tak się wychował. Żona z okresu przejściowego łamie się na dwoje, w rezultacie pozornie; dla niej w gruncie rzeczy sama zbrodnia jest epizodem przykrym, ale nie zasadniczym. Chodziło jej raczej o to, że mąż kochał inną i dla tego zabił człowieka, ale skoro nie... A najmłodsza latorośl na zbrodnię nie reaguje moralnie zgoła, owszem ma do zbrodniarza pociąg, jak do bohatera.

Ubocznie tedy, bo nie z głównego założenia, dramat p. Nałkowskiej — i w tem jest dowód jej talentu — urósł do znaczenia dokumentu historycznego. Osoby jej dramatu, cały dom tego „dnia powrotu" są postaciami symbolicznemi. Analiza chemiczna jednej kropli dała jej odpowiedź na dręczące każdy głęboki umysł pytanie: wybaczać czy nie wybaczać zbrodnie? Zagadnienie zbrodni jest dzisiaj w naszem środowisku najtragiczniejsze. Czy zbrodnia, za którą nie chodzi kara, jak cień, i której człowiek się nie kaja, której się nie wstydzi, którą zdaje się chełpić, triumfująca — może być wybaczona?

Prawdziwy talent poznaje się po nieodpartej konieczności szukania prawdy i wołania o nią.

P. Nałkowska doskonale radzi sobie ze sceną i z publicznością. Ma swój sposób, wypróbowany już w poprzedniej sztuce, że chwyta odrazu publiczność na wędkę tajemnicy i nie puszcza jej do końca. Słuchacz więc hypnotyzowany, jak przez sen oklaskuje swoje zainteresowania, aczkolwiek też jak przez sen wzdryga się na okrucieństwo autorki, z jakiem operuje ludzi. Zbrodniarzem jest mężczyzna, ale według tego, jak rzecz ona widzi, kobieta jest doskonałem podłożem, jeśli chodzi o hodowlę bakcyla zbrodni. Przerażający jest naturalizm, z jakim p. Nałkowska redukuje kobietę do roli ofiary instynktów.

Od tego poziomu do wyżyny moralności bezwzględnej, upostaciowanej w ojcu, autorka uszczeblowała hierarchję człowieka, a wprowadzając wiele kombinacyj psychologicznych i zdarzeń, składała to wszystko, jak materjał wybuchowy, w jedno serce kobiety, która jest tylko biernością, a ma rozstrzygać. To wysokie napięcie dramatu żywo odczuwa publiczność.

Wiele zawdzięcza artystom: pp. Chmielińskiemu (ojciec), Węgrzyn (zbrodniarz), Gromnickiej (żona) i Lindorfównie (entuzjastka). Zdaje się, że kreacja Moniki (żony) nie dała dostatecznego pojęcia o tem, czemby mogła być według intencji autorki. Wiele utalentowanych artystek będzie na niej siły swe mierzyć. Z. W.

# ZE ŚWIATA SZTUKI

Do najwybitniejszych zdarzeń w naszem życiu artystycznem należą bezwątpienia wystawy „Rytu". Nie będzie żadną przesadą, jeżeli powiem, iż grafika polska, wraz ze współczesnym drzeworytem rosyjskim nie mają sobie równych w Europie. Ktokolwiek miał sposobność zapoznać się bliżej z obecnym rozwojem sztuki czarno-białej, wie o tem bardzo dobrze. Mniej uświadomionych (aby nie narazić się na gołosłowność sądu) odsyłam do najłatwiejszych u nas źródeł informacji, np. specjalnych numerów „Studio", poświęconych przeglądowi współczesnej produkcji graficznej Europy i Stanów Zjednoczonych Am. Półn. Wartość naszej grafiki leży i w jej odrębności; nie naśladując jakichś wzorów zachodnich, pomnaża dorobek narodów w tej dziedzinie sztuki nietylko ilościowo, lecz, co bez porównania ważniejsze, jakościowo. Znakomite litografje Wyczółkowskiego, drzeworyty Kulisiewicza i Skoczylasa, barwne pejzaże drzeworytnicze Krasnodębskiej-Gardowskiej — to dzieła, z których słusznie możemy być dumni. Trzeba nietylko raz wyraźnie i stanowczo powiedzieć to sobie i innym, lecz świadomość tego faktu ciągle i jaknajszerzej rozgłaszać. Jest to pierwszym obowiązkiem naszej krytyki. Niestety, niektórzy jej przedstawiciele zamiast tego wolą wpadać w zachwyt na widok wypocin pierwszego lepszego malarzyny francuskiego, kreując go na przedstawiciela „sztuki, która jest płomiennym protestem przeciwko"... i t. p. bzdury.

W rozwoju naszej grafiki niepoczesną rolę odegrał i coraz większą będzie zapewne odgrywał „Ryt". Nie mam bynajmniej zamiaru kreślić tu historji działalności młodego jeszcze stowarzyszenia. O przemianach, jakie się w niem odbyły na przestrzeni kilku lat istnienia, pisałem w „Plastyce" (Nr. 1 1930 r.). Tam też odsyłam ciekawych. Tutaj z racji wystawy wystarczy kilka uwag ogólnych o obecnym charakterze „Rytu". A więc stwierdzamy, że „Ryt" jest nadal wierny drzeworytowi, nawet może w większej mierze niż przedtem. Znika powoli drzeworyt, kolórowany ręcznie, a i drzeworytów barwnych (z kilku płyt) niewiele. Panowie chętnie tną rylcem na klocku sztorcowym bukszpanowym (Chrostowski, Cieślewski, Mrożewski, Podoski, częściowo Bartłomiejczyk i Skoczylas) i mają skłonność raczej do formatów mniejszych, panie są bardziej wierne gruszce i dłutkom i nie pogardzają planszami o solidnych rozmiarach. Zamiłowanie do techniki bardziej drobiazgowej i wyszukanej cechuje w dalszym ciągu p. p. Cieślewskiego, Mrożewskiego i Podoskiego, jednocześnie pojawiają się pierwsze jaskółki nawrotów do traktowania rycin szeroko, zamaszyście, na dużą czarno - białą plamę (2 lineoryty Cieślewskiego, prace Duninówny).

Co do tematów, należy zaznaczyć, iż dawniej prawie wszechładnie panujący temat religijny, na obecnej wystawie, poza jedną pracą p. Krasnodębskiej—Gardowskiej, nie został przez nikogo wyzyskany.

Tyle uwag ogólnych. Przechodząc do omówienia prac poszczególnych grafików, będę to robił w najwygodniejszej w takich wypadkach kolejności alfabetycznej, wyjątek czyniąc jedynie dla osoby prof. Skoczylasa, co chyba nikomu dziwnem się nie wyda. Wśród za innymi wprowadził prof. Skoczylas do środków stosowanych w swem drzeworytnictwie nowe, b. specjalne narzędzie t. zw. rylec wielokrotny. Rylec taki, dając bardzo swoiste efekty, stwarza całkiem odmienny typ drzeworytu. Zadziwiające jest, jak prędko opanował Skoczylas nową technikę, zżyty bądź co bądź z zupełnie innemi sposobami wyrażania się. Lecz nowa technika zmusza w despotyczny sposób i do nowego ujęcia tematu. W dawnych pracach Skoczylasa własnemu stylowi odpowiadała i własna koncepcja całości. W nowych, (rylcem wielokrotnym) odmiennej technice nie odpowiada jeszcze odmienna postawa artysty. Widzimy uciekanie się do chwytów raczej naturalistycznych. Dwa pejzaże, tak właśnie wykonane, są dość prostolinijne w swym naturaliźmie. Wśród drzeworytów ciętych dłutkiem wyróżnia się „Miasteczko w zimie", którego jędrna lapidarność stawia je w rzędzie klasycznych dzieł ksylografji.

Najcharakterystyczniejszą cechą prac prof. Bartłomiejczyka jest dla mnie ich stylowość. Słowa: taka lub inna indywidualność, niedość ściśle określają istotę rzeczy, wyczuwa się tu wyraźnie styl, w rodzaju historycznych, jakby

akiś styl historyczny w minjaturze, naturalnie bez związku z jakąkolwiek epoką. Wystawione prace Bartłomiejczyka, posiadając wspólne znamiona tego samego stylu, są dość urozmaicone w różnolitości ujmowania tematu. Mamy więc *ex-libris* autora, niemal sylwetkowy, płaski, ożywiony odbiciem w jasnej, wesołej barwie. Dalej „Zbójnik", bardzo szlachetny w umiarkowanem użyciu efektów, o sylwecie rozbitej już i barwą i kreskowaniem. Pozatem drzeworyt kolorowany ręcznie, „Z hali", gdzie granice plamy nie oznaczają już zarazem i konturów przedmiotu (jak w poprzednich drzew.); sylweta zasadnicza zostaje tu rozbita na szereg mniejszych partyj czarnych i białych, ich gra, wraz z dołączonym kolorem decyduje o efekcie całości. *Ex-libris* J. Szelążka jest właściwie obrazkiem, cięty rozmaitemi rylcami, także i wielokrotnym wprowadza już światłocień i walory, przy użyciu jednak środków daleko bardziej skomplikowanych nie zatraca całkowicie tak bardzo dla Bartłomiejczyka charakterystyczniej sylwetowości (np. plamy kóz, ciemny dom na tle jaśniejszego). Wymieniłem rozmyślnie tyle prac B., aby wykazać odchylenia w ich traktowaniu. Całość składa się na obraz z dużą wszechstronnością mówiący o jego autorze.

Borowski wystawił dwie litografje, nie wykraczające w niczem poza już oddawna znany jego *genre*. Cechuje Borowskiego duże i wprost intuicyjne wyczucie równowagi kompozycyjnej, tak różne np. od nieubłaganie logicznych metod komponowania Kurzątkowskiego. Wszystko, co robi ten artysta, nosi znamiona dużej kultury i może nadmiernej wytworności, wytworności smacznych ciastek, które każą nam tęsknić za razowym chlebem barbarzyństwa. W cieplarnianej atmosferze bardzo malutkiego światka żyje rozkochany w sobie Narcyz, obce mu są wszelkie gwałtowniejsze wzruszenia i wogóle wzruszenia, a przecież bez nich sztuka istnieć nie może!

Działalność artystyczna Chrostowskiego pozostaje w stałym kontakcie z grafiką użytkową, zwłaszcza z dziedziną książki. Uprawianie tego rodzaju grafiki wymaga od artysty specjalnej dyscypliny. Nawet duży talent, nieokiełznany jako spółtwórca pracy różnorakiej nad całością, składającą się na książkę, może jej czasem raczej zaszkodzić, niż pomóc. Przez swe nastawienie psychiczne, oraz przez subordynację swej, ciętej rylcem, kreski graficznej posiada Chrostowski najzupełniejsze dane do stworzenia na polu grafiki książkowej (ilustracje, zdobniki i t. d.) rzeczy wysoce wartościowych. Niestety zupełny brak inicjatywy ze strony naszych wydawców tamuje możność wypowiedzenia się artysty na tem polu. Jedynie w zakresie *ex-libris*'u warunki nasze nie krępowały w niczem Chr. To też w nim może wypowiedział się, jak do dziś, najpełniej i najciekawiej. Jego dorobek exlibrisowy jest już tak znaczny pod względem ilości i poziomu, że bez przesady uważać możemy Chrostowskiego za najwybitniejszego exlibrisistę młodego pokolenia. Na wystawie znajduje się piękny znak książkowy dr. Tretera. Pozatem wymienić należy dobrą ilustrację p. t. „Matka i dziecko" oraz „Snopki", małą rycinkę, utrzymaną również w typie książkowym.

Droga jaką przebył Cieślewski syn jako rytownik znaczy się kilkoma etapami. Zaczęło się od rycin, gdzie technika była na drugim planie, a dominowała wizja artysty, wspomagana przez specjalną koncepcję układu. Dziś jesteśmy świadkami zlikwidowania górnych i chmurnych marzeń młodości, technika wysunęła się na czoło, a ujęcie całości staje się czasami aż nazbyt potulnie konserwatywne. Artysta ograniczył się do jednego tematu: architektury, musi więc rozszerzyć ramy jego ujmowania, aby uniknąć zarzutu powtarzania się. Dobrym zwiastunem wśród prac Cieślewskiego na wystawie obecnej jest linoryt: „Kwiaty Miasta". Ponowny nawrót do prostoty środków wypływa po części z techniki (linoleum), lecz istota jego wydaje mi się kryć głębiej. Nie jest to już ubóstwo środków, ale po zgłębieniu wielu możliwości, świadoma ich segregacja. Stąd lapidarność takiej lakoniczności. Nie odtwarzanie rozmaitych fragmentów architektonicznych, ale swobodne posługiwanie architekturą jako tworzywem własnych koncepcyj kompozycyjnych — droga uwidoczniona przez „Kwiaty Miasta" — jest (mam wrażenie) dla Cieślewskiego najwłaściwsza.

Marja Duninówna, ze swą techniką pozbawioną półtonów, operującą tylko czarnemi i białemi plamami, staje się na tle „Rytu" pożądanem urozmaiceniem. Jednak operowanie skrótami nie uwalnia bynajmniej od przemyślenia, przeciwnie, tembardziej doń zobowiązuje. A nie wszystkie prace artystki wydają mi się dostatecznie przemyślane, na czem traci ich wyrazistość. Piętą Achillesa „Rytu" jest p. Goryńska. Jej pejzaże mają technikę przeraźliwie oschłą i kaligraficzną, daleko lepiej cięte są jej pieski i kotki, ale na miły Bóg, cóż to za światopoglądzik artystyczny z pocztówek od Watsona!

Bogna Krasnodębska-Gardowska wystawiła dwa drzeworyty barwne: „Stary port" i „Ogrójec". Nie bawiąc się w różne zawiłe zwroty, tak ulubione przez wielu naszych panów-krytyków, powiem poprostu i ordynarnie: pejzaże barwne Krasnodębskiej-Gardowskiej należą do najpiękniejszych dzieł z tego zakresu w Europie, (współczesną grafikę europejską znam względnie dobrze). Poza pogodną i jakże piękną barwą, cechuje je pewien utajony liryzm, tkliwość, z jaką czuła dłoń artystki rzeźbi korony drzew, stwarza z nich najbardziej wzuszające fragmenty rycin. Przytem rzecz ważna: posługując się barwą, sprowadzającą częstokroć grafikę na niebezpieczne manowce malarskości, artystka nigdy nie zatraca istotnych cech rytownictwa (co niezawsze da się powiedzieć o Konarskiej). „Stary Port" mieści się w ramach powyższej charakterystyki. Odmianą jest tu wybór motywu: zamiast szerokich przestrzeni, dali perspektywicznych, mamy horyzont zamknięty ścianami domów; prosta architektura, przez rodzaj traktowania, zrasta się z otaczającą przyrodą.

Kontynuowanie przez artystkę nadal tematów religijnych (Ogrójec) utwierdza nas w mniemaniu, że stosunek osobisty do nich nie był (a więc i nie jest) tak może powierzchowny jak, w swoim czasie u innych członków „Rytu". „Ogrójec", bliski „Drodze krzyżowej", jest w porównaniu z nią olbrzymim krokiem naprzód. Jakże wielu artystów, dzisiaj, osiągnąwszy pewien poziom poprzestaje na nim i zadowala się jedynie ilościowem pomnażaniem dorobku. Ambicja zwyciężania trudności przyniosła Krasnodębskiej-Gardowskiej nowe ważkie zdobycze. Twarze apostołów w „Ogrójcu", o rysach chłopów polskich, ciekawe są i wyraziste. Nie udało się tylko oblicze Chrystusa, centralnej postaci kompozycji. Widzimy również korzystne zmiany w traktowaniu szat (układ draperyj), znikły stylizacyjne szematy, zastąpione przez kreskowanie żywe i giętkie. Kształt stał się bardziej realistyczny, dochodząc czasami do bujności trochę barokowej (nogi Chrystusa).

Ojczyzną drzeworytów Mrożewskiego są ryciny śrutowe, najbogatsza i najciekawsza technika XV wieku. Zdobywając się na wizje własne i silne, Mrożewski tematowo i ujęciowo obraca się w obrębie średniowiecza, np. rycina: „Wypędzanie djabła z grzesznika". Jego kompozycje graficzne, w stosunku do dawniejszych, stały się bardziej irrealne, są przeto trafnym krokiem naprzód na drodze rozwoju artysty. Technika grafika, chociaż tak bogata, nie zbacza nigdy na tereny czczej wirtuozerji; ostatnie prace przyniosły kilka nowych i ciekawych pomysłów formalnych.

Oto i cały „Ryt", z wyjątkiem Kulisiewicza, Konarskiej i Wąsowicza, którzy w wystawie ostatniej nie biorą udziału. Baczny czytelnik może spostrzegł, iż omawiając kolejno prace członków „Rytu" opuściłem jedno nazwisko: Wiktora Podoskiego, ale wybaczy mi zapewne gdy się dowie, że jest nim niżej podpisany. Tutaj pozwolę sobie tylko zauważyć: będę zadowolony, gdy poświęcając trochę uprzejmej uwagi mym pracom, widz uwzględni powyższe zdanie, wypowiedziane przez jednego z rosyjskich krytyków o współczesnym grafiku tegoż narodu [1]): „Takie zdobycze dawniej nazwalibyśmy technicznemi, dziś nie możemy ich tak nazwać, gdyż wiemy, że nie istnieją zdobycze techniczne bez formalnych, a te ostatnie bez ideowo-artystycznych".

Pozatem wystawia razem z „Rytem" 3 gości zaproszonych.

Dwie akwaforty p. Leonji Nadelman dowodzą, iż młodą graficzkę interesuje przedewszystkiem ekspresja wyrazu. W komponowaniu wyzyskuje efekty asymetrji. W kwasorytach N, znać pozatem usiłowanie, aby mówiły coś o rasie, do której artystka należy. I słusznie, gdyż niema nic gorszego od bezpłciowości sztuki internacjonalnej.

Metaloryty kolorowe M. Obrębskiej, o dużych walorach dekoracyjnych, są kulturalne, ale i puste. Artystka, w pogoni za efektami chwytów technicznych, zagubiła rzecz cenniejszą: wewnętrzną treść dzieła. Prace jej, nazwane niesłusznie monotypjami, są dość luźno z grafiką związane.

Konrad Średnicki do grafiki przyszedł z malarstwa, co jest w jego rycinach widoczne. W akwatintach usiłuje zgłębić i rozszerzyć arkana tej techniki. O samym artyście mówi najwięcej jedna z nich, zatytułowana „Podwórko". Inne są bardziej objektywne. Litografja „Mężczyzna z fajką" o niesamowicie wydłużonej twarzy, łączy zalety techniczne z sugestywnością pewnego nastroju.

WIKTOR PODOSKI

[1]) „Mastiera sowremionnoj grawiury i grafiki", red. Połonskij, 1928 r.

# OFENSYWA

## MÓJ LEFRANC DE POMPIGNAN

CZYTELNICY tej rubryki w „Myśli Narodowej" muszą mi wybaczyć, że w czasach tak ważnych i ciężkich jeszcze raz zajmę się tutaj objektem tak lekkim, jak ten Wacio Grubiński. Usprawiedliwiam się nie tem, że chcę porządnie i na czysto utrzeć noska drobnemu ryzykantowi, który stanął na drodze, wystawił język i zajmuje swoją osóbkę wtedy, kiedy mam chyba co innego do roboty, jak przekomarzanki z dzieciskami literackiemi, ale usprawiedliwiam się tem, że autor „Baltazara", „Baala", „Baj-Baju" i innych, podobno bardzo zgrabnych nowelek, jest jednym z najtypowszych szczątkowych okazów tak zwanej „Warszawki", to jest tego przedwojennego światka, który ostał się jeszcze w miljonowej stolicy poważnego państwa. Ten to „światek" starałem się nieco zdemaskować w mojej ostatniej komedji i tem właśnie chyba uczuł się dotknięty przedewszystkiem Wacio Grubiński, klasyczny reprezentant intelektu tejże „Warszawki", jej wykwit, jej wydźwięk. Ponieważ sam się niebacznie wysunął na arenę, aby kruszyć kopję w obronie „gasnącego światka", przeto niniejszem zostaje pasowany na rycerza „Warszawki" i odtąd, gdy tylko okaże się potrzeba czy konieczność likwidowania mentalności i moralności „Warszawki", przygodnie jego ucieszna twórczość będzie poddawana uzdrawiającemu krytycznemu prześwietlaniu.

Pod ręką mamy owoc żywota Waciowego, t. j. dobór krytyk i recenzyj teatralnych, wydany pod nieco aroganckim tytułem: „W moim konfesjonale". Przelotna lektura, a raczej wertowanie tego zbiorku, potwierdza najdobitniej słuszność i sprawiedliwość werdyktu: najtypowszy intelekt „Warszawki". Nie można mu odmówić dwóch zalet: dużej ambicji i miłej gracji. *Suum cuique*. To jest pisarz w dobrym guście, z ujmującą dyscypliną stylistyczną, wysilający się rzetelnie na poprawność językową, niekiedy nawet cyzelujący swoją prozę jasną i klarowną. Kształci się, trzeba mu to znów także przyznać, na dobrych mistrzach i majstrach francuskich i wpływ tej dobrej lektury na każdej stronie zaraz poznać. Bezsprzeczne te przymioty pisarza obciążone są atoli nieuleczalnemi mankamentami walorów myślowych. Jeżeli jako autora teatralnego, komedjopisarza Grubińskiego można postawić nieomal obok Porto-Riche'a (Porco-richem go nazywano w Paryżu) czy obok Donnaya, to z dobraniem „*comparaison*'u" dla krytyka Grubińskiego sprawa jest trudniejsza z powodu tego, że intelekt ściśle bulwarowy i buduarowy dopinguje tutaj chora ambicja, tragiczna ambicja uchodzenia, wydawania się jakimś analitykiem całkiem serjo, pogłębionym, ba nawet spekulatywnie myślącym. To jest Wacia Grubińskiego „Bovaryzm", to jest jego piękna dażność do wyemancypowania się z „Warszawki", do przemożenia w sobie „Warszawki", do odgrodzenia się od „Warszawki", niestety, bez żadnego rezultatu, bez żadnego sukcesu, zapóźno! Zanadto „warszawskie dziecko", zanadto wszystkiemi pępowinami związany z tym światkiem, zanadto długo edukował się w Yosziwarze „Kurjera Porannego", przesiąknął bezideowością, cynizmem, „lekkością" i geszefciarskim „światopoglądem" tej grupy czy trupy dziennikarskiej, dla której żadna *pecunia non olet*. Nałóg wieszania się przy różnych klamkach... „kapitalistycznych" od czasów nieboszczyków Śliwińskiego i Kamińskiego stał się już jego drugą naturą. Jest zawsze rezydentem i dworakiem, naginającym elastycznie swoje t. zw. „przekonania", „zasady" i postawy krytyczne do dyrektyw i gustów swoich miarodajnych protektorów i przyjaciół. To też tem smętniej wygląda ta jego zabawna poza na krytyka skroś niezależnego, nie poddającego się obowiązującemu „dusze niewolnicze" szacunkowi dla autorytetów już uznanych i ta pozorna śmiałość czy zuchwałość w ciskaniu się na wielkie firmy literackie, będąca w gruncie rzeczy tylko tupetem niedokształceńca i autodydakty, chcącego epatować „światek" „Warszawki" i ciśniewać starzejące się gejsze.

Zbiorek recenzyj p. t. „W moim konfesjonale" demaskuje bezlitośnie pustkę, parafjanizm i arrivistoską strategję błyskotliwego, karnawałowego bawidamka krytycznego, nawdziewającego maskę poważnemi kryterjami kierującego się estety i psychologa. Trawestując słynne powiedzenie ks. de Ligne jest to właśnie rozumek, który nuży *(fatigante)* przez niezwykłą dysproporcję między pretensjonalnością a zasobami mózgowemi i przygotowaniem naukowem, dla zawodu krytyka nieodzownem. Bufonerją i cytatami nawet z Hello, Mereditha, R. de Gourmonta etc. nie da się zastąpić solidnego, systematycznego wykształcenia. W rezultacie bowiem często w doskonale podrabianych imitacjach muszą zdarzać się gaffy śmieszne i zwykłe studenckie bąki. Nie sposób nadto orjentować się i pisać o europejskim teatrze i teatrze w Europie, nigdy w Europie nie bywszy, a znając ją tylko z kawiarni Europejskiej, Semadeniego i Lourse'a.

W tych swoich, przydługich zresztą, pogwarkach i wydziwianiach krytycznych Wacio Grubiński statuuje pewne „zasady", które jemu wydają się druzgocącemi paradoksami, a są komunałami często tylko ignoranckiemi: „zadaniem artyzmu *(sic!)* jest daną treść objawić *(sic!)* w najczystszej formie"... „Sztuka jest mistrzynią historji, nie odwrotnie"... „historja większą się cieszy w społeczeństwie *(sic!)* powagą *(sic!)* niż twórczość" *(sic!)*.. i t. p. Wierny tym „tezom" Wacio Grubiński... czepia się „autorytetów", a forytuje swoich elektów, głównie Sieroszewskiego i Krzywoszewskiego. O Sieroszewskim pisze: „posiada dwa kardynalne warunki na dramaturga *(sic!)*: poczucie akcji i umiejętność kreślenia typów"... „sztuka według mnie prawie arcydziełem" („Bolszew' y")..."„Głuszec" Krzywoszewskiego dlatego na zawsze zostanie w teatrze, dlatego nigdy się nie zestarzeje, że *(sic!)* jest fantazją *(sic!)*..." „będzie taksamo jasny jak dzisiaj, taksamo beztroskliwie uśmiechnięty"... „Prawdą w tej bajce jest czarowne wzruszenie na widok niewieściego wdzięku, to rozkoszne podchmielenie się *(sic!)* kobiecością, które nazawsze zostaje utajone *(sic!)* w krążeniu *(sic!)* krwi tych wszystkich, co się zataczali z oszołomienia"... I t. p.

Tak „zatacza się z oszołomienia" krytyk z „Warszawki" na scenicznych emanacjach „Warszawki". Natomiast nieubłaganie wierzga kopytkami nasz „Pierot" wobec Rittnera Szaniawskiego, Katerwy, Miłaszewskiego, Siedleckiego. Nieskarcony zaś w porę, korryguje Wyspiańskiego „Klątwę", paple trzy po trzy o „Wyzwoleniu", Słowackiego przezywa „genjalnem dzieckiem" a wobec Rostworowskiego rozdokazywana „pchła pozuje na żmiję"...

*A propos* tej żmiji atoli zdarzyła się ostatnio „pogromcy Lenina" z „Warszawki" zabawna gaffa. Skarcony teraz przygodnie, postanowił odegrać się i znów zaimponować „Warszawce" nowelką p. t.: „Kleopatra". „Znakomity" stylista w nowelce tej, wysilonej a bezsilnej, daje takie dowody kompletnej już nieporadności stylistycznej: „wokoło jej w y s m u k ł e j, młodej twarzy"... „półmisek r y m n ą ł na podłogę", „żółta masa, w którą się p r z e i s t o c z y ł y jajka"... „piersi Kleopatry, będące żywą, ruchomą a m f o r ą emocji"... „wtem czarne niebo p ę k ł o i wysunął się r o ż e k księżyca"...

Ale najgorzej wypadło z tą żmiją. Co bowiem czytamy w ramotce:

„Piękna kobieta trzymała w lewej dłoni m a ł ą ż m i j ę, j a s z c z u r k ę i przykładała ją do piersi. Za każdem przybliżeniem tego jadowitego płaza do piersi, po ukąszeniu zostawał maleńki czerwony znak, niby od ukłucia. Ramię wzruszonej kobiety odsuwało j a s z c z u r k ę, raniona klatka piersiowa boleśnie się wznosiła, a potem, pomału, kobieta znów przysuwała czarną ż m i j k ę do zranionego już ciała i po chwili przybywała nowa krwawa plamka obok poprzednich plamek".

Oto i przekleństwo niedouctwa i niedomogów w wykształceniu, choćby elementarzowem. Nasz Wacuchno marzył kiedyś, aby być polskim Oskarem Wildem i G. B. Shawem w jednej osobie; pisze o nich, że „obaj górują potężną inteligencją nad cywilizacją *(sic!)* europejską". Niestety sam nie zdaje sobie dokładnie sprawy jak z takich słów: „socjologja", „metafizyka", „transcedentalizm", tak i ze słowa: „cywilizacja". Aby górować nad „cywilizacją", nawet „Warszawki", trzeba wiedzieć przedewszystkiem, jeszcze z czasów dziecińs twa, że co innego jest: jaszczurka a co innego żmija. Kleopatra podobno przykładała sobie do „żywej, ruchomej amfory emocji" nie jaszczurkę... a żmiję (więc i nie... „p ł a z a").

Myśmy przykładali sobie Wacia i oto co z tego za.. jaszczurka nam wyrosła.

ADOLF NOWACZYŃSKI

# NA MARGINESIE

Przezabawny wypadek ignorancji zdarzył się ostatnio oficjalnej „Gazecie Polskiej". Oburzony listem zbiorowym grupy przedstawicieli duchowieństwa z djecezji tarnowskiej w sprawie Brześcia, organ pułkownikowski oświadcza (nr. 97):

„I nigdy chyba jeszcze o d c z a s ó w ś r e d n i o w i e c z a, majestat wiary katolickiej, Przenajświętszy Sakrament, tajemnica spowiedzi, ambona, nie były tak sponiewierane, tak zbezczeszczone... jak w czasach rozkwitu endecji w Polsce".

Publicyści „sanacyjni", kształceni na propagandowych broszurkach masońskich, których autorzy pamiętają przedewszystkiem wypędzanie żydów, ghetto, żółtą łatę, przyzwyczaili się uważać średniowiecze za najokropniejszy okres wszelkich prześladowań, beznadziejnego barbarzyństwa, ciemnoty... Dzieje wieków średnich i ich cywilizację nauczyli się widzieć ci „postępowcy" wyłącznie w barwach najciemniejszych...

Zapomniały tylko zautomatyzowane umysłowo biedaczyny, że przypadkowo tym razem nie o „wolnomyślicielstwie" wypadło im pisać, ale o... położeniu katolicyzmu. A okresem upadku wiary katolickiej średniowiecze nie było napewno.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.